

DIALOG pheniben

nr 14 KWIECIEŃ-MAJ-CZERWIEC 2014

☼ **DROGA IMIGRANTÓW** Aisza pisze, że kiedyś Krym był półwyspem, teraz jest wyspą, żyją jak w getcie. Nie przyjęli rosyjskich paszportów. Mogą wyjechać, ale nie mogą wrócić ☼ **FOTOREPORTAŻ** Bardzo się bałem, aby nie spaść z samochodu, bo siedziałem na jego krawędzi. I za mną byli mężczyźni, którzy się bili. „Złaż z mojej nogi! Moja noga, proszę, moja noga!” ☼ **KULTURA** Na wzorzystych dywanach, obok rozdeptanych wielkich trzewików, siedzi boso szczupła kobieta, ubrana w barwną spódnicę i bluzkę, w chustce na głowie. To Delaine Le Bas ☼ **SPOŁECZEŃSTWO** A kto oni, ci obcy? Już my wiemy i oni też wiedzą. Po imieniu lepiej głośno ich nie nazywać, żeby się nie narazić na oskarżenia i procesy. Dobrze wiemy, że chodzi o Żydów, pedałów, Cyganów i innych takich ☼ **HISTORIA** W kuchni robię poranną kawę, w rękawiczkach i zimowej kurtce narzuconej na pizamę - domy są nieogrzewane. Do okna podfruwa koliber, spija wodę z cukrem z przygotowanego specjalnie dla niego karmnika.

☼ **IDAĆCY** ☼ Monika Bułaj **Str. 46-49** ☼ **Przymus mobilności** ☼ Paulina Wilk **Str. 14-19** ☼ **WARTO POSŁUCHAĆ** ☼ Maria Pomianowska **Str. 86-87** ☼ **Europa ma to gdzieś** ☼ Jarosław Mikołajewski **Str. 34-37** ☼ **2004. KINGSLEY'S CROSSING** ☼ Olivier Jobard **Str. 50-69** ☼ **Nienawiść zakłada togę** ☼ Wojciech Maziarski **Str. 88-91**

Redaktor naczelna Joanna Talewicz-Kwiatkowska
Redaktor Dariusz Fedor
Sekretarz redakcji Małgorzata Kołaczek
Korekta Grażyna Kwiek
Koncepcja kwartalnika, projekt graficzny,
fotoredakcja i produkcja Dominique Roynette, Piotr Wójcik
Fundacja PICTURE DOC
Przygotowanie fotografii do druku Sylwester Zacheja
Promocja i dystrybucja Kinga Orzeł-Dereń
Finanse Renata Mucha
Drukarnia Colonel, Kraków

Wydawca STOWARZYSZENIE ROMÓW W POLSCE
ul. Berka Joselewicza 5
32-600 Oświęcim
tel./faks: 033 842 69 89
stowarzyszenie@romowie.net
www.stowarzyszenie.romowie.net



Kontakt
www.dialog-pheniben.pl
redakcja@dialog-pheniben.pl
Znajdź nas na Facebooku

Płatne ze środków finansowych Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego



Zadanie jest realizowane dzięki dotacji Ministra
Administracji i Cyfryzacji



Człowiek - najlepsza inwestycja!

Projekt współfinansowany ze środków Unii Europejskiej
w ramach Europejskiego Funduszu Społecznego

DIALOG pheniben

Kwartalnik Stowarzyszenia Romów w Polsce

Romska Poczta Kingi Orzeł-Dereń, współpraca Sonia Styrkacz **6-7**
Książka. Świadekstwo Höllenreiner **8**

DROGI IMIGRANTÓW

Przymus mobilności. Paulina Wilk **14-19**
Na Krym nie ma powrotu. Urszula Dąbrowska **22-31**
Europa ma to gdzieś. Jarosław Mikołajewski **34-37**
Miasto drugiej szansy. Karolina Przewrocka **40-43**
Idący. Fragment książki Moniki Bułaj **46-49**

FOTOREPORTAŻ

Kingsley's Crossing. Olivier Jobard **50-69**

KULTURA

Sztuka aktywna Tamary Moyzes. Z Tamarą Moyzes
rozmawia Timea Junghaus **70-81**
Zawsze dziś. Beata Ryń **82-85**
Warto posłuchać. Poleca Maria Pomianowska **86-87**

SPOŁECZEŃSTWO

Nienawiść zakłada toge. Wojciech Maziarski **88-91**
Śliwki w piekle. Wojciech Śmieja **92-97**
W kontrze. Małgorzata Goślińska **98-105**

HISTORIA

Polaki i Brazyliany. Historia heroiczna. Kinga Orzeł-Dereń .. **106-111**

TU NAS SZUKAJCIE

Białystok: Kawiarnia Labalbal, ul. Warszawska 21 lok. 3; **Gdańsk:** Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Gdańsku, ul. Targ Rakowy 5/6; **Kielce:** Stowarzyszenie Jana Karckiego, ul. Paderewskiego 40; **Nowy Sącz:** Małopolskie Centrum Kultury Sokół, ul. Długosza 3; **Oświęcim:** Centrum Dialogu i Modlitwy, ul. Kolbego 1, Międzynarodowy Dom Spotkań Młodzieży, ul. Legionów 11, Centrum Żydowskie, pl. Jana Skarbka 5; **Warszawa:** Dom Spotkań z Historią, ul. Karowa 20, Księgarnia Instytutu Reportażu Wrzenie Świata, ul. Gałczyńskiego 7

„Dialog-Pheniben”
to pismo bezpłatne.
Możecie wesprzeć
kwartalnik,
zasilając konto:
67 1240 4155 1111 0010
4015 9291.
Nawet niewielka wpłata
pomoże nam się
rozwijać. Dziękujemy!



Problem z głowy

Zachód, Ameryka – tam niegdyś jechało się za chlebem, za wolnością. Od niedawna na mapie ziem obiecanych jest też Polska. Jeszcześmy imigranckie peryferia, często przystanek tylko czy tranzyt, ale trafiają do nas już nie tylko post-Sowieci – głównie z Ukrainy, ale i przybysze z Wietnamu, czy Chin. Według Narodowego Spisu Powszechnego imigranci stanowią w Polsce ledwie 0,1 procent. Liczba migrujących Polaków jest większa, jesteśmy więc jednym z nielicznych krajów Unii Europejskiej z ujemnym saldem migracyjnym. Więcej osób wyjeżdża z naszego kraju, niż do niego przyjeżdża. Czy mamy przez to dla migrantów więcej zrozumienia? Niekoniecznie. Nawet znikoma obecność przybyszów z innego kraju, często wyznawców innej religii, z inną kulturą, językiem, z miejsca rodzi problem: dla szkół, urzędników, polityków, ale i dla tak zwanych zwykłych obywateli. Imigranci burzą im ich porządek. Przecież nadal dominuje pogląd, że skoro jesteś u nas, to musisz się dostosować. Facebookowy fanpage „Nie dla islamizacji Europy” polubiło kilkadziesiąt tysięcy osób. „Kupując kebaba, osiedlasz araba, nie rób tego” – napisał Wojciech. „Wyłapać, spalić, zdelegalizować” – doradził inny internauta. Podobnych komentarzy jest więcej. Ale nie liczba jest tu niepokojąca. Ważne jest, kim są autorzy. Bynajmniej nie wpisują się w obraz stereotypowego łysego kibola. Są tam m.in. menedżer, nauczyciel angielskiego, urzędnik, student prawa, wokalistka w chórze, germanistka... Czy trzeba przypominać, że to właśnie w środowiskach intelektualnych rodził się nazizm? Strach bierze, gdy szuka się analogii. Bo się można doszukać. Podobnie jak w latach 30. doświadczyliśmy kryzysu ekonomicznego. Żyje się nam trudniej, rośnie frustracja i rozczarowanie, tak jak rosły wtedy. Szuka się więc winnego. Wtedy też się szukało. Dawniej znajdowało się Żyda, czasem Roma. Dziś też. Często wystarczy imigrant. A jeśli na dodatek jest Romem... A o to akurat nie jest trudno, szczególnie po roku 2007, kiedy do UE przystąpiły Bułgaria i Rumunia z prawie dwumilionową populacją Romów. Przybywają więc i...? Budują prowizoryczne osady i mieszkają w nich latami. Im może jest lepiej niż w kraju, w którym wcześniej żyli. Ale nam? Mamy to zaakceptować? Jak znaleźć rozwiązanie, które będzie ich włączać w nurt społecznego życia, nie zakłócając spokoju i poczucia bezpieczeństwa innych? W Gdańsku z „problemem” imigrantów romskich poradzi sobie pracownicy Biura Obsługi Mieszkańców. W asyście policji, straży miejskiej i urzędników gdańskiego magistratu zburzyli pięć baraków, w których od trzech lat Romowie mieszkali. Pozbawili kilkanaście osób, w tym dzieci i kobietę w ciąży, dachu nad głową. Gdzie ci Romowie teraz pójdą? Co zrobią? A urzędnicy - czy oni rozwiązali problem? Czy go raczej stworzyli?

Joanna Talewicz-Kwiatkowska

KWIECIEŃ

Polska

Słowa nienawistne

Przed sądem w Opolu rozpoczął się proces trzech dwudziestolatków oskarżonych o publiczne grożenie dwóm Romkom. Do zdarzeń doszło w maju 2013 roku. Mężczyźni mieli publicznie znieważać kobiety. Grozili też, że zabiją i spalą dziecko jednej z nich. Oskarżeni częściowo przyznali się do winy, ale tłumaczyli się też, że zniewagi były jedynie odpowiedzią na wcześniejsze zaczepki ze strony Romów. Za przemoc lub groźby wobec osób z powodu ich przynależności narodowej, etnicznej czy rasowej grozi kara od 3 miesięcy do lat 5 więzienia.

Ukraina

O jaką niepodległość walczą?

Grupa rosyjskich separatystów zaatakowała 19 kwietnia Romów zamieszkujących ukraiński Słowiańsk. Agresorzy włamali się do ich domów, skatowali mieszkańców, a zrabowany dobytek wywieźli ciężarówkami.

MAJ

Europa
Romowie

w europarlamencie!

Dwóch przedstawicieli społeczności romskiej weszło – w wyniku wyborów – do Parlamentu Europejskiego. Po raz

pierwszy mandat zdobyła pochodząca ze Szwecji Romka Soraya Post z Inicjatywy Feministycznej. 57-letnia Post działa na rzecz praw człowieka, w tym na rzecz Romów. Drugi z „romskich mandatów” przypadł 44-letniemu Damianowi Drăghiciemu z Rumunii. Drăghici startował z ramienia lewicowej koalicji skupionej wokół socjaldemokratów. Gratulujemy!



Fot. Archiwum prywatne



Fot. Archiwum prywatne

Polska

Dymy i zadymy

Romowie z Maszkowic znaleźli osobliwy sposób na zarobek: palą sprzęt elektroniczny i sprzedają odzyskane w ten sposób metale. Okolicę spowijają kłęby toksycznego dymu. Mieszkańcy

bezsukcesyjnie próbowali zmusić Romów do zaprzestania tych działań. Konflikt przybierał na sile, dochodziło do regularnych bójek. Po długich mediacjach Romowie w pisemnej deklaracji zobowiązali się zaprzestać palenia elektroniki. Mieszkańcy nie czują się usatysfakcjonowani. Tego typu deklaracje były już składane w przeszłości i żadna nie przyniosła oczekiwanych rezultatów. Obie strony konfliktu mają swoje racje. Dla Romów sprzedaż metalu jest niekiedy jedynym źródłem utrzymania, z kolei mieszkańcy nie chcą żyć w oparach trującego dymu.

CZERWIEC

Watykan

Papież broni Romów

W trakcie audjencji dla uczestników sympozjum „Kościoł i Romowie” zorganizowanego przez Papieską Radę ds. Duszpasterstwa Migrantów papież Franciszek I napiętnował pogardę okazywaną Romom. Stwierdził, że są oni wykorzystywani, zmuszani do żebrania oraz że często trafiają na margines życia społecznego. Papież wezwał społeczność międzynarodową do podjęcia inicjatyw zmierzających do poprawy warunków, w jakich żyją Romowie. Podkreślił ogromną rolę Kościoła katolickiego w tym procesie.

Polska

W Andrychowie wrze

Niebezpiecznie zaostrzył się konflikt polsko-romski w Andrychowie. Zamaskowani sprawcy napadli i pobili Romkę spacerującą z dziećmi, czego rezultatem była regularna bijatyka w parku miejskim. Ucierpieli w niej zarówno Romowie, jak i Polacy.

Cóż tam, Romie, w polityce?

Małgorzata Kołaczek

W Brukseli kolejny szczyt. Tym razem Romów. 500 delegatów, José Manuel Barroso i transmisja online na żywo. Ale też prezydent Rumunii Traian Băsescu, znany ze swoich rasistowskich uwag o społeczności romskiej, i bardzo mało przedstawicieli romskich organizacji. Amnesty International też z państw UE nie jest zadowolona.

4 kwietnia w Brukseli po raz trzeci (po Brukseli w 2008 i Cordobie w 2010) zwołano Europejski Szczyt Romów, tym razem pod hasłem *Lokalnie dla włączenia Romów*. Cele przyświecały delegatom jak zawsze szczytne: postanowili przeanalizować „sposoby i rezultaty wdrażania krajowych strategii integracji Romów „oraz omówić” sposoby poprawy integracji Romów na szczeblu lokalnym”. Dyskutowali o edukacji, zatrudnieniu, opiece zdrowotnej i sytuacji mieszkaniowej członków społeczności romskich w Europie. Przewodniczący Komisji José Manuel Barroso przyznał, że Romowie wciąż doświadczają dyskryminacji, dzieci trafiają do szkół specjalnych, a wiele rodzin żyje niekiedy w katastrofalnych warunkach. Czyli to, co zawsze.

Wiceprzewodnicząca Viviane Reding dostrzegła, że, niestety, politycy sprzyjający integracji Romów w wyborach nie są zwycięzcami. Wygrywają takie zuchy jak Traian Băsescu, prezydent Rumunii, który w lutym został ukarany grzywną za stwierdzenie, że Romowie utrzymują się z kradzieży i nie chcą pracować. I na szczyt go zaproszono. I to z wyprzedzeniem, w przeciwieństwie do wielu romskich organizacji pozarządowych, które, jak podaje portal romea.cz, poinformowane zostały w ostatniej chwili. Nie pozostało to bez echa – sieć Europejskich Romskich Organizacji Obywatelskich (European Roma Grassroots Organizations – ERGO) dzień przed spotkaniem zorganizowała zgromadzenie przedstawicieli pozarządówek w proteście przeciwko zbyt małemu zaangażowaniu Romów w planowanie i zorganizowanie szczytu.

Nie tylko Romowie nie mają powodów do zadowolenia z działań państw UE. Z opublikowanego 8 kwietnia raportu Amnesty International *Prosimy o sprawiedliwość: porażka Europy w ochronie Romów przed przemocą na tle rasowym* wynika, że kraje europejskie nie wywiązują się z obowiązku zwalczania dyskryminacji, zastraszania i przemocy na tle etnicznym wobec Romów. Największe ciężki zebrały Czechy, Francja i Grecja, które są najbardziej biernie w zwalczaniu przestępstw motywowanych nienawiścią wobec Romów. Badania Amnesty wskazują nawet, że czasami to władze same podsycają dyskryminację wobec Romów, politycy wygłaszają rasistowskie komentarze, a policja nie reaguje odpowiednio na przypadki przemocy. Co więcej, normą w wielu krajach są dyskryminacja, przymusowe wysiedlenia, segregacja i edukacja poniżej standardów. W wielu krajach Romowie się boją, nie chcą wychodzić z domów, żyją w strachu. A politycy na szczytach debatują i poklepują się po plecach.

Małgorzata Kołaczek

doktor nauk politycznych, autorka pracy doktorskiej „Etniczna mobilizacja Romów po rozszerzeniu Unii Europejskiej w 2004 roku. Studium przypadku - Polska, Słowacja, Węgry”. Wykłada w Instytucie Studiów Regionalnych na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie.

Następnie wypadki potoczyły się niezwykle szybko: grupa ponad 60 nacjonalistów uzbrojonych w pałki i łańcuchy zaatakowała mieszkania Romów, wybijając szyby oraz niszcząc samochody. Obrzucono kamieniami samochód Gerarda Lindera, szefa

stowarzyszenia andrychowskich Romów, mistrza świata w kick-boxingu. W jednej z kawiarni odmówiono obsłużenia romskiej rodziny. Kibice klubu Beskid Andrychów i działacze lokalnego oddziału Młodzieży Wschepolskiej zaczęli

organizować antyromskie patrole obywatelskie. Na Facebooku powstał antyromski profil. Skala nienawiści zaskakuje. Populacja Andrychowa to 21 020 mieszkańców, z czego tylko 100 to Romowie.

Współpraca Sonia Styrkacz

Ostatnia edycja **warsztatów dziennikarskich „Dialog szansą na zmianę”** odbyła się 24-28 marca 2014 roku w Oświęcimiu. Wykładowcami byli m.in.: Dominique Roynette, Piotr Wójcik, Dariusz Fedor i Adam Kozak. Najaktywniejsi uczestnicy warsztatów odbędą staże w redakcji naszego kwartalnika. W ramach rzeszowskiego festiwalu „Wschód Kultury” i projektu „Kontener Wolności” 29 czerwca 2014 roku odbyła się **debata z cyklu „Debaty na rzecz dialogu”**. **Tematem dyskusji było pytanie: „Migracja - zmiana na lepsze?”**. W rozmowie uczestniczyli: Viktoriya Herun, imigrantka, członkini Lokalnej Grupy Wspierania projektu „Lublin dla wszystkich”, Monika Budka, główny specjalista ds. pomocy cudzoziemcom w MOPR Lublin, i Jakub Kościółek, doktorant na Wydziale Studiów Międzynarodowych i Politycznych UJ, konsultant międzykulturowy. Debatę poprowadziła Kinga Orzeł-Dereń.

Świadectwo Höllenreiner

Matthias Bahr, Peter Poth

Walczy, aby zagłada Sinti i Romów nie była już nigdy określana mianem „zapomnianego holokaustu”. Głośno upomina się o prawa ofiar do pamięci i prawa ocalałych do godnego życia. To ważny głos – głos tego, który przeżył

Właśnie ukazała się książka „Hugo Höllenreiner. Das Zeugnis eines überlebenden Sinto und seine Perspektiven für eine bildungssensible Erinnerungskultur”. Jej bohater - niemiecki Sinti Hugo Höllenreiner - spędził dzieciństwo w obozach Auschwitz-Birkenau, Mauthausen i Ravensbrück. Przeżył deportacje, doświadczył głodu i otarł się o śmierć. Po wojnie całe swe życie poświęcił dawaniu świadectwa o Zagładzie. Ze swym przesłaniem zwraca się zwłaszcza do ludzi młodych. Przestrzega: „To się nie może nigdy więcej zdarzyć. Nigdy!”.

Dzięki Hugo Höllenreinerowi świat dowiaduje się o tragedii Romów, którym przez długie lata odmawiano prawa do głosu. Po 1945 roku wciąż traktowani byli jak obywatele drugiej kategorii, co było nową odmianą wykluczenia i zakłamywania historii. I to też jest częścią ich świadectw i prawdy o Auschwitz.

Pierwszy rozdział książki (Spotkania i inspiracje) to opinie osób, które spotkały Hugo Höllenreiner a i czerpały inspirację z jego świadectwa. Drugi zawiera wskazówki edukatorów, których historia Hugo natchnęła do kreowania edukacji wrażliwej na upamiętnianie ofiar Holokaustu. W kolejnym zostały przedstawione i zanalizowane zadania, projekty, inspiracje i pomysły związane z upamiętnianiem ofiar Holokaustu. W książce przedstawiono też najważniejsze informacje dotyczące zagłady Romów i najnowsze wyniki badań naukowych na ten temat. Znajdziemy w niej również teksty prezesa Stowarzyszenia Romów w Polsce Romana Kwiatkowskiego oraz przewodniczącego Centralnej Rady Niemieckich Sinti i Romów Romani Rosego poświęcone osobie Hugo Hollenreiner a i jego dziełu.

Dla nas, autorów publikacji, poznanie tej wybitnej postaci było ogromnym zaszczytem.

Książka powstała dzięki współpracy z Centrum Dokumentacyjnym i Kulturalnym Niemieckich Sinti i Romów w Heidelbergu i z NS - Centrum Dokumentacyjnym w Monachium. Dostępna jest tylko w języku niemieckim, planowane są przekłady na inne języki.

Prof. dr Matthias Bahr – wykłada edukację religijną w Departamencie Nauk Kulturowych i Społecznych na Uniwersytecie Koblenz-Landau (Niemcy); prowadzi interdyscyplinarne seminaria na terenie byłego obozu Auschwitz-Birkenau.

Peter Poth – wykłada historię i język niemiecki w szkole średniej Regenta School Nittenau k. Regensburga (Niemcy); prowadzi seminaria na terenie byłego obozu Auschwitz-Birkenau we współpracy z uniwersytetami w Regensburgu i Koblenz-Landau.



Fot. Adam Kozak



Józef Jochymczyk – Merstein Ján Berky – Mrenica Jr.

Płyta „Me givau” jest wynikiem pracy artystów z Polski i Słowacji w ramach projektu Stowarzyszenia Romów w Polsce „Polsko-słowackie warsztaty w muzyce bez granic”. Józef Jochymczyk - Merstein oraz Ján Berky-Mrenica Jr. - niezwykle mądry mariaż muzyki polskich i słowackich Romów oraz Sinti Jazz. Dziewięć tradycyjnych romskich kompozycji w nowych, ciekawych aranżacjach i dwa popularne utwory mainstreamu: „Piosenka o mojej Warszawie” oraz „Powiedz że mi moja miła”. Zapraszamy do słuchania!



Granica turecko-bułgarska w pobliżu miejscowości Goliam Derwent, 17 lipca 2014 roku. Siatka okolona drutem kolczastym ma chronić Unię Europejską, której Bułgaria jest członkiem, przed naporem imigrantów, ostatnio głównie uciekinierów z Syrii. Ogrodzenie ma 30 kilometrów długości i 3 metry wysokości.

Fot. Dimitar Dilkov/AFP/East News

DROGI IMIGRANTÓW



Etiopia, 18 marca 2014 roku. Nowo przybyli uchodźcy z Sudanu Południowego czekają na rejestrację na przejściu granicznym Pagak w regionie Gambella. Konflikt w Sudanie Południowym wywołał ogromny napływ uchodźców do Etiopii.
Fot. Solan Gemechu/AFP/East News

Przymus mobilności

Paulina Wilk

„Nikogo nie ma w domu” – mówi Dubravka Ugresić, pisarka emigrantka, która żyje w domku dla lalek, przez innych nazywanym Amsterdamem. Przyjeżdżają tam wciąż nowi podróżni – z bagażami pełnymi niepewności i zamiarów, tyleż intensywnych, co niesprecyzowanych. Z perspektywy miasta portu autorka widzi wyraźnie, jak na Starym Kontynencie zjawiają się młodzi przybysze, ich obco brzmiące dialekty, ich nieelastyczna obyczajowość, namiętności i przekonania – nikomu niepotrzebne tu, na coraz bardziej niejednoznacznej ziemi. Bo Europa jest już tak umiędzynarodowiona, tak od samej siebie odległa i kosmopolityczna, że jej wielokulturowość nie chce dalszego zasilania. Rozbita na kawałki europejska nietożsamość staje się kłopotem – brak jej granic, klarowności, definicji.

Im bardziej Inni tu przyjeżdżają,
tym bardziej My nie jesteśmy sobą.
I tym bardziej Oni nie stają się Nami.

Z coraz większej mozaikowości wynika przede wszystkim nasilone rozdrobnienie, rosnąca pula niuansów.

Europa się niepokoi, przywołuje na pomoc XIX-wieczne racje narodowe. Próbuje wcisnąć się w stary nacjonalistyczny kostium. Ale tamtego kształtu już nie ma. Naród – to dziś najmniej autentyczne z określeń Wspólnoty. Wszyscy jesteśmy nomadami – Żydami, Romami, domokrążcami z balastem kultury, która odnajduje swoje miejsce tylko za cenę dopasowania. Lub na zawsze pozostaje tułacza. Tak czy owak – musi mutować. Adaptacja jako samounicestwienie – tego boją się migranci. Integracja jako konieczność zmiany – obawiają się gospodarze.

☀ Świat opanowała tajemnicza epidemia ruchu
☀ Ludzie, ogarnięci podróżną gorączką,
bez znajomości celu, przenoszą swoje utraty, lęki,
niespełnione pragnienia

„Nie przyjeżdżajcie. To koszmar!”
– afrykańscy i arabscy imigranci
ślą rozpaczliwe komunikaty
w SMS-ach do swych rodzin.

Młodzi mężczyźni, wyprawieni do lepszego świata jako forpoczta. Utknęli na Lampedusie, bez niczego, poza dobrze ukrytą gotówką i kupioną od obrotowego pośrednika kartą SIM. Stłoczeni w obozach, znużeni, dopiero po zakończeniu morskiej podróży, siedząc całymi dniami na słońcu w bezruchu i niewiedzy, zaczynają rozumieć, że szczęśliwe zakończenie im umknęło. A to zaledwie pierwszy z niespełnionych happy endów na trasie imigrantów, którzy już zawsze będą próbowali się wspinać dalej i dalej, z nadzieją, że dotrą do horyzontu. Ten zaś, złośliwie się oddalając, nie oferuje im ani dnia ulgi. Na skalistym wybrzeżu Lampedusy objawia się pierwsza partia migracyjnej świadomości – Europa wyobrażona nie jest tą, do której dotarli. Już na powitanie pozbawiła ich wolności, unieruchomiła w procedurze oczekiwania, w wytwarzanej naprędce uchodźczej hierarchii – są silniejsi i słabsi, spośród samych imigrantów wywodzą się zarządcy cudzej niedoli, zbijają pierwszy europejski majątek na przerażeniu i bezwolności towarzyszy podróży.

Jakie iluzje tracą przybysze na pierwszym przyczółku? Z jakimi mirażami zasypiali, odkładając pieniądze na podróż i później, wypatrując włoskiego brzegu? I dlaczego, skoro wysyłają rodzinom zniechęcające sygnały, ich śladami ruszają kolejni?

Mobilność to nakaz, obłęd i pragnienie, któremu nie sposób się przeciwstawić. Emigracja bywa wyborem, ale znacznie częściej przymusem – nie faktycznym, lecz zaszczepionym. A jeśli tak, czy mamy do czynienia z potężną, irracjonalną siłą, od której nie ma odwrotu?

„Zaraz pójde do mojego braku
pokoju!”
– rzuca mściwie
bohaterka sztuki Doroty Masłowskiej
„Między nami dobrze jest”.

Oto buńczuczny okrzyk tych, którzy nie mają dokąd iść, nie dysponują nawet własnym kątem, ale chorują na współczesność – manię zmian mających ulepszyć nasze życie, obecność i człowieczeństwo poprzez odejście, przemieszczenie się i zdobycie czegoś, choćby terytorium, dóbr lub umiejętności. Aby mieć i osiągnąć, należy bezwzględnie znaleźć się w ruchu. Postęp i rozwój – patroni globalnej rzeczywistości – są zaprzeczeniem pozostawania, stania, zapuszczania korzeni. Przymus poruszania się jest tak wielki i bezwzględny, że nawet ci, którzy nie mogą donikąd wyruszyć, znajdują się w ruchomym środowisku. Nie tylko nas nie ma w domu, zmianie podlega również sam dom. Nie pozwala się zamieszkiwać w sposób, jaki znaliśmy wcześniej. Przystaje być statycznym punktem odniesienia, eksmituje nas.

Mieszkańcy niektórych bałkańskich wiosek, choć nigdy nie oddalili się od swoich chat bardziej niż na lokalny targ, na przestrzeni XX i XXI wieku zamieszkiwali różne światy – zmieniały się granice, rządy, ustroje i oficjalne języki. Chcieli czy nie – byli więc w drodze. Dziś w podróż ruszają ich wnuki – pakują manatki, opuszczają bośniackie wsie i bułgarskie plaże, by pracować w niemieckich barach, których właściciele wykupili już chorwackie wybrzeże.

Hindusi, wypychani z porośniętych dżunglą wzgórz i piaszczystych równin przez wielki przemysł, tracą poczucie istnienia. Nie ma drzewa, które czcili w codziennych rytuałach, ani jeziora, które obmywało ich z nieczystości. Lokalne bóstwa rozpierzchły się, wystraszone logiką zysku. I tak kolejna społeczność wypędzonych z kultury rozbija foliowe szałas na chodnikach Delhi i Mumbaju. Tam nie ma bogów, w walce o przetrwanie modlitwy nie pomagają.

Chińscy rybacy pewnego dnia budzą się w wielkich metropoliach, choć ich łódka nie drgnęły ani o milimetr. To przyszłość przyszła do nich. Zjawiała się wielka i nieodwołalna – betonowo pewna, choć nie wiadomo, kto miałby ją szczęśliwie zamieszkiwać. Pracownicy docierający tu z innych, także nagle zrodzonych miast wysiadają z superszybkich pociągów, pokonujących setki kilometrów i lat świetlnych. Nie czują więzi z miejscem, codziennie jej przecież zaprzeczają. Łatwość podróżowania działa w obie strony – równie szybko ludzie mogą opuścić skonstruowany dla nich świat. Pozorność nowych miast jest wyczuwalna – dziś miliony poruszają się w tych scenografiach. Jutro mogą być gdzie indziej.

Mobilność, przecięcie ciągłości postrzegane były jako potencjał, przede wszystkim ekonomiczny. Ale okazały się bronią obosieczną, bo umożliwiają i zmianę, i jej anulację.

Gwarantem trwałości może być tylko historia i kultura – mówią budowniczowie megamiast, i zachłannie projektują przestrzenie umożliwiające twórczą wymianę oraz wspólne spędzanie czasu. To na nic – kosztowne arty-

Paulina Wilk
pisarka i publicystka,
autorka m.in. „Znaków szczególnych” (2014)
– osobistej historii dorastania w czasach transformacji oraz „Lalek w ogniu” (2011),
uznanej za jeden z ważniejszych debiutów reporterskich ostatnich lat
opowieści o Indiach, łączącej dwa gatunki: reportaż i esej.
Współzałożycielka Fundacji „Kultura nie boli”, a także współorganizatorka Big Book Festivalu.

styczne kompleksy nowych dzielnic Pekinu i Hongkongu zieją pustką, arabskie muzea pokazują przeciętne kolekcje sklecone w kilka lat. Odgórna implementacja sztuki i obyczajów nikogo nie przekonuje, nie zwiększa miłości do miasta i nie zabezpiecza przed porzuceniem.

Co innego ma moc wiążącą – obietnica poprawy, fantazja, że kiedyś będzie lepiej. Gnani snem o zamożności i komforcie imigranci tkwią w przedślonku spełnienia. Chińskie władze niechętnie przyznają przyjezdnym z prowincji status miejskich rezydentów – trzymani w zawieszaniu, nie mają dostępu do publicznej edukacji ani służby zdrowia, czekają między pozostawioną wioską a niezdobytym miastem. Właśnie to chwilowe, prowizoryczne położenie wydaje się jedyną faktyczną stałością. Działa jak klątwa rzucona na tych, którzy wyruszyli w drogę, by nigdy nie dotrzeć do celu.

Nikt dziś nie jest u siebie, wszyscy dokądś zmierzają, coś zmieniają – gnani nie tyle poważną i powszechną przyczyną, ile niecierpliwym przeczuciem, niepokojem albo chęcią.

A kiedy już raz wyruszą, uruchamiają łańcuch zmian, wobec których nie może być żadnych odzyskanych początków.

Emigracja jest bezpowrotnym wyjściem z domu – notuje pisarka emigrantka, która swą tożsamość umieściła w walizce. Nie ma już przeszłości ani przyszłości, zamieszkuje nieskończoną tymczasowość. Trwale nabytą, stanowiącą jej jedyny prawdziwy, choć niewidzialny paszport. Jest kimś z tożsamością porzuconą i posiadaczką nowej nieprzynależności. Nie może się pożegnać, a i witać nie ma z czym. W opowieściach większości migrantów powtarza się wątek nieukończenia podróży – dom pozostawiony nie pozwoli już nigdy się odnaleźć. Nawet gdyby nastąpił powrót, to już do innego, zmiennego pod naszą nieobecność początku. A skoro tak, wracać nie ma do czego. Emigracja jest rozstaniem z własnym losem, otwarciem nowego wątku. To, co zapisuje się w pamięci, jest natomiast skansenem – fikcyjnym muzeum prywatnych tęsknot.

Tym, którzy wyjechali, pozostaje tylko ruch naprzód. „Najlepiej więc nie ruszać się z miejsca” – radzi emigracyjny pisarz Alain Mabanckou, któremu się co prawda w Europie udało, ale jego publikowane i tłumaczone na wiele języków afrykańskie powieści są – jak sam mówi – potwierdzającym regułę wyjątkiem. Regułą jest utrata, nie zysk. Przestrzega wyjeżdżających – zostańcie w domu, gdzie możecie liczyć na wsparcie bliskich, niezmiennosc adresów, gdzie jeszcze da się być kimś. To lepsze niż niespełnione starania, samotność. Jego wołania pozostają niesłyszane – sen o poprawie losu skłania do ryzyka.

Wracają nieliczni – tylko oni mogliby zdekonstruować mit o dostępnej w dalekim świecie szczęśliwości. Wracając, muszą jednak stawiać czoło porażce.

W etosie imigracyjnym nie ma miejsca na odwrót, zmianę zdania – te klęski są maskowane kolejnymi legendami. Kwestionowanie „słuszności” wyjazdu nie leży w naszym interesie. Podobnie jak odsłanianie prawdziwych motywów podróży, często bardziej prozaicznych niż deklarowane, zasilające romantyczny etos migrantów jako samodzielnych, walecznych i przeczących siłom geografii, czasu, polityki. Kwestionować zmianę jako najwyższą wartość naszego świata byłoby herezją. W imię postępu dzieje się niemal wszystko. Odnawialność – także ludzkiego życia, w innym miejscu i okolicznościach – jest wyznawana pod wszystkimi szerokościami geograficznymi. Zawirusowuje te zakątki, w których linearność istnienia coś jeszcze znaczy.

Wiarą w trwałość chwieją potężne siły. Afrykańskie czy azjatyckie wioski, od stuleci żyjące według rytmu natury, znikają pod wodą albo unoszone trąbą powietrzną – cenę za produkowaną przemysłowo nowoczesność Północy płaci ubogie Południe, pozbawiane jedyne zasoby – przewidywalności, regularności przyrodniczego życia. Jego mieszkańcy są ostatnimi, którzy upierają się przy pozostawaniu. Osuszają zalane ziemie, zbierają rozegznane wiatrem odłamki i na nowo kładą życie – takie samo, jedyne, jakie znają. Prawdopodobnie jedyne, jakiego chcą. W nieustająco przeprowadzającym się świecie nastąpiła zamiana ról – najdzielniejsi, najbardziej podziwiani za upór, odwagę i siłę charakteru są ci, którzy opierają się zmianom. Ładują albo na piedestale, albo w kategorii „ginących gatunków”, otulani współczuciem.

W miastach stworzonych przez imigrantów, urastają do roli mitycznych bohaterów – kustoszy porzuconej mądrości. Równie często służą jako nieruchome boje – punkty, wobec których mierzy się skalę i wartość migranckiego sukcesu. Jak dalece odszedłeś od samego siebie? Jak skutecznie?

Jeśli przyjąć, że podstawową przyczyną migracji jest pragnienie zmiany, to niezmiennością ludzkich zachowań i przekonań można by określić masową skalę imigracyjnej porażki.

Hinduska Kiran Desai – urodzona w Ameryce jako dziecko indyjsko-europejskich imigrantów – pisze nie o swej aktualnej ojczyźnie, lecz o tej faktycznej. Obserwuje Indie z wewnątrz i zewnątrz jednocześnie, skrupulatnie odtwarza trudne imigracyjne losy. Hindusi podróżują z wielkimi tobołami, walizami – wiozą na kraniec świata nie samych siebie, ale honor i godność

swych rodzin. Wyprawiani w drogę z namaszczeniem i ciężarem obowiązkowego sukcesu, ładują w rzeczywistości diabolicznie podobnej do tej, jaką usiłowali opuścić. Hierarchia indyjskiego społeczeństwa zostaje odtworzona w diasporze, na nią nakłada się jeszcze piramida globalna, także dzieląca ludzi na gorszych i lepszych. A jednak to Hindusi, szczególnie zdeterminowani, by ograniczenia pokonać, awansują szybko, zyskując w Ameryce, Australii czy na Bliskim Wschodzie wyższy, policzalny i okraszony prestiżem status.

Tam, gdzie nieosiągnięty sukces nie może utulić tęsknoty za utraconym, z pokolenia na pokolenie przekazywany jest kulturowy oręż – ojczyzna zachowana w rytuałach, nawykach, smakach i języku. Podawana jak relikwia i bogactwo, ciąży dzieciom imigrantów, bo nie pozwala na zjednanie z nową ziemią. Przyzywa, domaga się szacunku i miłości. Kiran Desai i inni emigranccy powieściopisarze współcześni nie przestają powracać do kulturowych ojczyzn. To właśnie daje im legitymizację w świecie zachodnim. Jhumpa Lahiri, Rana Dasgupta, Anita Desai, Zadie Smith, Elif Şafak... mogą istnieć tylko pomiędzy. Są literackimi tłumaczami globalnych zaułków, jako postaci o podwójnej tożsamości, tworzą zrozumiałe dla Innych i Naszych określenia, przerywają cywilizacyjne mosty. Dzielą tułaczą tożsamość wszystkich migrantów.

Istnieje optymistyczna interpretacja migracji, wedle której przeniesienie jest możliwe, a tożsamość podróżnych określa się nie jako pękniętą, a złożoną i wzbogaconą.

Tak skomplikowany proces nie mieści się jednak w jednym ludzkim życiu. Spełnienia nie osiąga się w jednym pokoleniu, to transgeneracyjna biografia, której początkiem są nieruchomi, niezmienni przodkowie, końcem – dzieci urodzone, ukształtowane na nowej ziemi. Jeśli migracja może okazać się skuteczna, zakończona, to za sprawą wysiłku zbiorowości, której potomek – nie prędzej niż w trzecim pokoleniu – będzie tutejszy.

A kiedy zakończy się podróż w jedną stronę, dyktatura ruchu upomni się o swoje i nakaże kierunek odwrotny. Człowiek tutejszy zacznie pytać o przodków i poprzedników, poszuka powodu, by pozostać samym sobą. Rozłupie uspołnioną tożsamość. I aby połączyć się z przeszłością, spróbuje zawrócić czas. Tylko w korytarzu, w ruchu odzyska ten rodzaj gorączki i niepokoju, którego doświadczali poprzedni podróżni. Złoży hołd ich wysiłkowi, przybliży się do nich, przetrze szlak dla następców.

Paulina Wilk

DROGI IMIGRANTÓW



Tabasco, Meksyk, 2011 rok. Imigranci na dachu pociągu towarowego jadącego z południa na północ Meksyku. Każdego roku tysiące imigrantów podróżuje przepelnionymi wagonami w stronę granicy ze Stanami Zjednoczonymi.

Fot. Fabio Cuttica/Contrasto/East News

Na Krym nie ma powrotu

☼ W telewizji właśnie zapowiadali uroczystość wręczenia Nagrody Solidarności Mustafie Dżemilewowi, moralnemu przywódcy krymskich Tatarów, kiedy Ismail otwierał urzędową kopertę ☼ W telewizji mówili właśnie o solidarności z narodem tatarskim, gdy Ismail czytał, że Polska odmawia mu statusu uchodźcy

Urszula Dąbrowska

Lilla Świerblewska otwiera zeszyt w kratkę. Na razie wystarczy szesnastokartkowy. Na każdej stronie jest jedna tatarska rodzina. Imiona, nazwisko, ośrodek, do którego trafili (tu dużo skreśleń, nowych adresów), liczba i wiek dzieci, jakieś szczątki informacji. Robi dopisek na stronie o rodzinie z ośrodka dla uchodźców w Czerwonym Borze. Tatarzy z Ałushty-mażeństwo i trójka dzieci: dwie dziewczynki i chłopak.

- Urodziło im się czwarte, 30 maja w ośrodku. Teraz jest dwóch chłopaków – aktualizuje.

Od szczęśliwego ojca dowiedziała się, że do Czerwonego Boru dowieźli właśnie dwie kolejne rodziny Tatarów z Krymu: czteroosobową i dziewięcioosobową (siódemka dzieci, następne w drodze). Zapisuje je na nowych stronach.

- Są więc trzy rodziny w Czerwonym Borze, jedna w Białej Podlaskiej i dwie w Białymstoku - podsumowuje. W sumie ma 29 osób pod opieką. Z danych Straży Granicznej wynika, że teraz w Polsce przebywa około 50 Tatarów, którzy uciekli z Krymu.



Krymscy Tatarzy manifestują swoje poparcie dla Ukrainy przed referendum, które ma zdecydować o wchłonięciu Krymu przez Rosję.
Wieś Stroganofga,
14 marca 2014.
Fot.
Markku Ulander/SLEHTIKUVA/East News

Strona czwarta: Osman i Taisa

Ośrodek w Czerwonym Borze niedaleko Łomży należy do tych lepszych: ogródki, kwiatki, odmalowane korytarze. Ale w dwóch pokojach, w których zakwaterowano rodzinę Osmana, najpierw rzucają się w oczy metalowe prycze i szare płytki PCV. Skojarzenia ze skoszarowaniem, obozem nieuniknione. Na jednym z tapczanów Osman kilka dni temu odebrał poród swego syna - Selima.

- To sprzeczne z islamem, ale nie w sytuacji, gdy chodzi o życie – mówi. Nie uronił łzy wzruszenia, kiedy wziął na ręce małego, bo był w tak straszliwym napięciu. Działał jak nieprzytomny, tylko ręce pracowały, głowa nieczynna. Taisa komenderowała: „Teraz obróć synka, poczyść buzię”. Pogotowie przyjechało cztery minuty po wszystkim. Taisa wcześniej dwa razy wylądowała na porodówce w Zambrowie, ale za każdym razem przesuwali jej termin o dwa tygodnie. Dziecko według USG się zmniejszało, zamiast rosnać. Taisa się denerwowała, ale lekarz uspokajał, że po tych przejściach na Krymie taka nerwowa. Zadzwonili do znajomej z Warszawy, która organizowała protest pod ambasadą Rosji 18 maja. Brali w nim udział razem z trzydziestką innych zainteresowanych. Załatwiła, że na zambrowskiej porodówce interweniował lekarz ze stolicy. Taisa dostała kroplówkę na wywołanie i odesłali ją do ośrodka. „Są skurcze” – ośmieliła się zauważyć. „To dobrze. Idźcie do domu”. Taisa puchła, miała zawroty głowy, wymiotowała, maluch ruszał się coraz mniej. Tyle go już nosiła, że kiedy zaczął się poród, nie załapała. Nie chciała znowu panikować. Następnego dnia warszawska znajoma miała ją zabrać do stołecznego szpitala, ale po pierwszej w nocy

Selim wyskoczył jak z procy. W szpitalu w Zambrowie tylko zważyli, zmierzili i pogratulowali. Teraz wszystko już dobrze. Rodzina Osmana na nic nie narzeka.

Jedzenie? - Dobrze.

Warunki? - Dobrze.

Pracownicy?

- O tacy! – Osman podnosi do góry kciuk. – Mogę spokojnie spać. Ktoś chce o nas napisać i pójdzie to w świat. Ja już Polsce dziękuję i nie myślę o tym, co będzie, jak nam odmówi pobytu.

Osmana męczy tylko bezczynność. Tęskni za robotą. W Ałuszcie, nadmorskim kurorcie, prowadził sklep z przyprawami. Bywało, że pracował nocami. Dorobili się trzypokojowego mieszkania, domu nad morzem, mieli 900 arów ziemi.

- Wszystko rzuciliśmy. Czy szkoda? Trochę, ale życia byłoby bardziej. Powiedziałem bratu, żeby meble i co tam jeszcze sprzedali, albo wzięli sobie. Znać dobrego adwokata? Będę się sądzić z rosyjską władzą o swoje. Już raz Tatarzy zaczęli wszystko od nowa.

Telefon od przyjaciela

Osman: - Na Krymie najpierw w lutym zaczęły się anonimowe telefony: „wynocha stąd!”. Żona mówiła, że ktoś za nią chodzi. Dzieci skarżyły się, że w szkole je poszturchują. Na ulicy ktoś złapał mnie za brodę: „Tatar? Won paszo!”. Wszędzie kręciły się zielone ludziki z kałachami, wśród nich dużo Serbów. Chyba najemnicy? Na dłuższą metę nie do wytrzymania. Byliśmy na celowniku. Należałem do muzułmańskiej organizacji. Angażowaliśmy się z żoną, na długo przed aneksją, w mityngi przypominające o prawach Tatarów. W internecie robiliśmy akcje przeciwko temu, co Putin wyrabia w Tatarstanie, w Czeczenii. Znali nas, bo i za Ukrainy cała administracja była w rękach Rosjan. Kiedy się sprzedali Federacji, mieli już wolną rękę. Po referendum 16 marca, po przyłączeniu Krymu do Rosji, Aksionow, samozwańczy szef nowej republiki, nakazał wszystkim, którzy nie chcą być w Rosji, wyjechać z Krymu. Termin dał krótki: trzy dni. Nie przyjęliśmy rosyjskiego obywatelstwa. Myślałem: póki jesteśmy Ukraińcami, może nie będą nas ruszać.

Ale zaczęli ginąć ludzie. Znaleźli zwłoki trzech Tatarów, jedne zmasakrowane, owinięte drutem kolczastym, z wylupionymi oczami. Mój syn widział, jak w Symferopolu do chłopaka, który rozmawiał przez komórkę po tatarsku, podeszło kilku byczków i go pobili. W naszym bloku mieszkali prawie sami Tatarzy. Po referendum zaczęliśmy pełnić nocne straże. Każda rodzina jedną noc.

Ostatni telefon, jaki odebrałem na Krymie, był od mojego przyjaciela. Powiedział: „Twoje nazwisko jest na liście, moje też było. Już wyjechałem. Uciekajcie”. Za Ukrainy pracował w „rejspołkowie”. Rosjanie go zwolnili, ale starzy znajomi z urzędu pokazali mu listy - tych do wysiedlenia. Zaczęliśmy się pakować. 31 marca w Symferopolu wsiedliśmy do pociągu do Lwowa. Było pełno ludzi, ale ruscy żołnierze podeszli tylko do nas. Chcieli zabrać dokumenty. Podnieśliśmy krzyk. Wstawiły się za nami ukraińskie konduktorki. Zrobiło się zamieszanie, z innych przedziałów powychodzili ludzie, wołali do żołdatów: „Czego chcecie? Zostawcie ich!”. Wyszli z wagonu. Nie minęło pół minuty i pociąg ruszył. Mam pewność, że to dla nas tak

Urszula Dąbrowska
dziennikarka specjalizująca się w tematach historycznych i dotyczących mniejszości narodowych. Pracowała w „Gazecie Wyborczej” i „Kurierze Porannym”. Obecnie zatrudniona na Uniwersytecie w Białymstoku.

szybko, że to te konduktorki. W pociągu zdecydowaliśmy: jedziemy do Polski. Granica ukraińsko-rosyjska dziurawa, kto chce wjedzie i dopadnie kogo trzeba. Ta wojna inna niż poprzednie. Nie wojska walczą ze sobą, tylko najemnicy z cywilami. Granicę przekroczyliśmy w Medyce. Wasi pogranicznicy nakarmili, dali się umyć. Jeden, pan Paweł, wyszedł za nami i wcisnął mi do kieszeni 50 złotych. „Nie nada” - mówię. On: „Nada, nada”.

Wykrzyknik

Jak tylko na Krymie zawrzało, a 27 lutego Rosja przeprowadziła błyskawiczny anszłus półwyspu do Federacji, wiadomo było, że krymskim Tatarom lepiej nie będzie. Na początku marca na zachodniej Ukrainie pojawili się pierwsi uchodźcy. We Lwowie zatrzymało się prawie dwa tysiące krymskich Tatarów. Przedstawiciele polskich partii rządzących i opozycyjnych byli zgodni, że nasz kraj powinien udzielić im schronienia. Ogłosili, że Polska jest gotowa przyjąć 11 tysięcy uchodźców z Ukrainy, lokalne władze zastanawiały się, gdzie ich umieścić, ożywiły się sztaby kryzysowe, telewizja pokazywała schludne pokoje dla nich. Od początku roku do maja wnioski o status uchodźcy złożyło zaledwie 600 Ukraińców, w tym garstka Tatarów. Do końca maja Urząd ds. Cudzoziemców wydał 60 negatywnych decyzji, pozytywnej żadnej.

Ewa Piechota, rzecznik Urzędu, tłumaczy, że nie ma podstaw, by uchodźców z Krymu traktować jakoś specjalnie.

- Każdy przypadek rozpatrywany jest indywidualnie – stwierdza. – Wszystkim starającym się przysługuje prawo odwołania do Rady ds. Uchodźców oraz dwie instancje sądowe.

W zeszycie Lilli przy jednej z rodzin stoi wykrzyknik. Dostali odmowę.

Strona pierwsza: Ismail i Leila

Lilla Świerblewska, Tatarka z Białegostoku, potomkini tych Tatarów, którzy osiedlali się na kresach Rzeczypospolitej od XVI wieku, oglądała właśnie zapowiedź uroczystości nadania Mustafie Dżemilewowi Nagrody Solidarności, kiedy zadzwonił Ismail.

Powiedział:

- Dostałem odpowiedź z Urzędu ds. Cudzoziemców: negatywną.

Dzień wcześniej pomagała mu w przeprowadzce z ośrodka dla uchodźców do wynajętego w Białymstoku mieszkania. Podlascy Tatarzy pomogli pomalować ściany, przynieśli kołdry, garnki, ubrania dla dzieci. Ismail z rodziną świętowali wyjście z łagru. Polska daje 750 złotych na osobę, która chce wyjść z ośrodka i żyć samodzielnie. Na dwoje wychodzi 1500 złotych, da się przeżyć. Są szkolne wyprawki dla dzieci, darmowa opieka medyczna. Ismail był dobrej myśli, ale teraz nie wie, czy dobrze zrobił, wyjeżdżając z Krymu. Nie ujawni swojego prawdziwego imienia, ani imion żony i dzieci, bo w Symferopolu, z którego uciekł, rosyjskie władze mogą dobrać się do jego bliskich.

Ale opowiadał Lilli o nieukończonym domu, który opuścił z dnia na dzień, o tym, że w małym stolarskim zakładzie, gdzie od lat pracował, Rosjanie zaczęły pluć na jego widok i kazali wynosić się do Europy, że w mieście powiało taką grozą, że bał się puszczać dzieci do szkoły. I że tęskni za daczą nad morzem, gdzie zostawił swoje ukochane pszczoły, pewnie na zatracenie.

Urzędnik stoi na stanowisku

Dzień później reprezentacja Muzułmańskiego Związku Religijnego w RP wzięła udział w uroczystości wręczenia Mustafie Dżemilewowi Nagrody Solidarności im. Lecha Wałęsy. Atmosfera na Zamku Królewskim była podniosła. Prezydent Bronisław Komorowski: „Nagroda to wyraz solidarności z narodem tatarskim oraz Ukrainą”, minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski: „Jeszcze wolność nie zginęła, póki wy żyjecie!”, Lech Wałęsa: „Walcz Pan tak dalej!”. Dżemilew, wieloletni szef nieuznawanego ani przez rząd ukraiński, ani rosyjski Medżlisu (tatarskiej rady narodowej), więzień sowieckich łagrów i ukraiński parlamentarzysta, który po aneksji ma zakaz wjazdu na Krym, zdecydował, że nagrodę - 700 tysięcy złotych - przekaże na pomoc krymskim Tatarom. Była okazja wspomnieć o cierpieniach narodu, który w XIX wieku stanowił ponad 70 procent mieszkańców półwyspu, a teraz zaledwie 15. W latach 30. został wytrzebiony (głównie elity) przez czekistów. Tych, co przeżyli, po II wojnie światowej Stalin oskarżył o kolaborację z faszystowskimi Niemcami. Jednego dnia - 18 maja 1944 roku - niemal wszystkich krymskich Tatarów, 200 tysięcy ludzi, deportowano do Azji Środkowej (przeważnie do Uzbekistanu). Ponad 20-dniowy transport przeżyła jedna trzecia. Na Krym Tatarzy zaczęli wracać pod koniec lat 80.

Lilla słuchała laudacji dla laureata niezbyt uważnie, bo rozglądała się za kimś, kogo można się poradzić w sprawie Ismaila. Wiele razy czytała uzasadnienie odmowy udzielenia mu statusu uchodźcy. Szef Urzędu ds. Cudzoziemców z Białej Podlaskiej, którego nazwisko na dokumencie jest trudne do odcyfrowania, zauważa, że Ismail nie należał do opozycji, nie był aresztowany, nie był na wojnie, przynosił jedynie jedzenie ukraińskim żołnierzom (trzykrotnie), brał udział w antyrosyjskiej manifestacji i doznał szykan ze strony pracodawcy i rosyjskich sąsiadów. Urzędnik stoi na stanowisku, że Ismail oraz jego rodzina powinni opuścić Polskę, bo „posiadają możliwość bezpiecznego zamieszkania w innym regionie kraju pochodzenia niż Republika Krymska”. Prof. Selim Chazbijewicz, politolog, pisarz, który 14 kwietnia powołał do życia Komitet Polityczny Tatarów Krymskich na Obczyźnie, nie kryje zaskoczenia. Podejrzewa, że może urzędnik w lokalnej placówce nie zdaje sobie sprawy z rządowych priorytetów, może kieruje się ślepo paragrafem i nie widzi sytuacji, w jakiej znaleźli się ci ludzie.

- Powinna być korekta tej decyzji, która w istocie jest etniczno-emocjonalna – komentował na gorąco. - Nie zapominajmy o tym, jak w czasach stanu wojennego i wcześniej byliśmy przyjmowani na Zachodzie. Ile dla nas to wsparcie znaczyło. Mamy poniekąd dług do spłacenia.

Pomoc obiecał Lenur Kerymov, prawnik z Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka, krymski Tatar od lat mieszkający w Polsce. Pomoże przygotować odwołanie, zobaczy, co jeszcze da się zrobić, ale zapowiedział, że drugi „negatyw” jest bardzo prawdopodobny. Prawo jest prawem.

Mufti RP Tomasz Miśkiewicz jest zawiedziony: - Wiemy, jak wygląda życie w totalitarnym kraju. Obchodzimy właśnie 25-lecie „Solidarności”, ale się nie solidaryzujemy.

I mimo negatywnej decyzji urzędu deklaruje:

- Jako społeczność polska tatarska nie pozwolimy, by uchodźcom z Krymu stała się krzywda. W przypadku deportacji czy wydalenia będziemy protestować. Użyjemy wszelkich legalnych środków. Mamy nadzieję, że przyłączą się do nas wszyscy Polacy. Solidarnie.



Mustafa Dżemilew otrzymuje z rąk prezydenta Bronisława Komorowskiego i Lecha Wałęsy Nagrodę Solidarności.

Warszawa, 4 lipca 2014.

Fot. Czarek Sokolowski/AP/East News

Krymscy Tatarzy podczas pogrzebu Reshata Ametowa w Symferopolu, 18 marca 2014. Ametow protestował przeciwko rosyjskiej aneksji Krymu, został odnaleziony martwy dzień po wkroczeniu na Krym rosyjskich żołnierzy.

Fot. Rafael Yaghobzadeh /ABACAPRESS.COM/East News

Ludzie pomagają, nie państwo

Osman wie, jak odpowiedziałby urzędnikowi, który wydał negatywną decyzję:

- Niech ten pan, co tak napisał, zapakuje w dwie walizki całą rodzinę, pojedzie na Ukrainę i urzędzi tam sobie jako takie życie. Ja mu życzę powodzenia. Wylicza to, co przecież każdy wie: na Ukrainie trwa wojna, rząd słaby, gospodarka zdycha, zaraz Rosjanie zakręcą gaz i zacznie się prawdziwa bieda. Władza nie ma głowy, by przy tym wszystkim jeszcze uchodźcami się zajmować. Zresztą uciekinierzy z Krymu nawet nie są dla niej uchodźcami, po prostu przeprowadzili się z jednego końca kraju do drugiego, więc nie ma problemu. Przecież Kijów nie uznaje przejścia Krymu przez Rosję. Taka schizofrenia. Na Ukrainie nie ma żadnego prawa regulującego kwestie uchodźstwa, żadnego systemu. Osman rozmawiał z Tatarami, którzy niedawno dotarli do Czerwonego Boru. Wcześniej przez miesiąc tułali się po zachodniej Ukrainie.

- To ludzie im pomagali, nie państwo – opowiadali mu. - Ludzie współczują. Przyjeżdżali do wsi, ktoś przynosił worek ziemniaków: „To dla was”. Dali łóżko, pojeść, pogadali. Ale ile można utrzymywać całe rodziny? Tydzień, dwa. Przenosili się więc z wioski do wioski. A przecież dzieci trzeba posłać do szkoły, zarabiać pieniądze. Miałem 22 lata, kiedy 21 czerwca 1991 przyjechałem z Uzbekistanu i pierwszy raz moja noga stanęła na Krymie. Przez ten czas ani razu ukraińska władza nie zająknęła się o rehabilitacji mojego narodu, ani Krawczuk, ani Kuczma, ani Juszczenko. Prawda jest taka, że o Tatarach przypomnieli sobie, kiedy przyszła bieda. Kiedy już Ruscy Krym wzięli, ukraiński parlament oświadcza: to my Tatarów rehabilitujemy. Przypomnieli sobie. Dlatego w pociągu zdecydowaliśmy: jedziemy do Polski. Muzułmański Związek Religijny robi wszystko, żeby uchodźcy się w Polsce dobrze czuli. Wynajmuje im mieszkania, organizuje zaopatrzenie, zaprasza do meczetów, otworzył specjalne konto.

- Kiedy w czerwcu wypłaciliśmy gotówkę, było na nim 3200 złotych. Niby niedużo, ale to znaczy, że kogoś dramat tych ludzi obchodzi – mówi mufti

Miśkiewicz. – Polskie władze zapowiadały przyjęcie tysięcy uchodźców, przyjechało kilkuset i jest problem. Spychamy go na Ukrainę. Świat skupił się na wschodniej Ukrainie, zapomniał o Krymie. Ani ONZ, ani żadna międzynarodowa organizacja nie pilotuje tego, co tam się dzieje.

Pod koniec czerwca mufti pojechał na Krym.

Strona druga: Zelma i Salih

Na drugiej stronie Lilla nie musi robić żadnych notatek, choć o Zelmie i Salihu mogłaby powiedzieć najwięcej. Mieszkają u niej w domu w Białymstoku, razem z jej rodziną. Tymczasowo. Od czterech lat pomaga Czechenom z białostockich ośrodków (o nich ma 60-kartkowy zeszyt), więc było naturalne, że właśnie ją mufti Miśkiewicz wyznaczył do pomocy uchodźcom. Z Zelmą i Salihem skontaktowała się, kiedy mieszkali w ośrodku pod Łodzią. Źle się tam czuli, samotni. Czecheńskie dzieci dokuczały ich 10-letniemu synowi, bo nie wiadomo skąd, jakiś inny - pobiły go. Bał się wychodzić na dwór, kiepsko szło mu w szkole. Jak tylko przyjechali, od razu wysłano go do dużej podstawówki w mieście, do piątej klasy. A on po polsku ani w ząb. 30 osób w klasie, nauczycielka jedna, nie miała dla niego czasu, kazała przepisywać polskie litery. Na koniec roku chłopiec ma prawie same jedyńki: tylko z informatyki czwórka. Na półroczu w ukraińskiej szkole: 10, 11 (skala tam jest do 12) a z krymsko-tatarskiego 12. Lilla zaczęła się rozglądać za lokum w Białymstoku, żeby ich stamtąd wyciągnąć. Jeden z podlaskich Tatarów zaproponował mieszkanie tylko za czynsz. 3 czerwca odebrała Zelmę, Salihę i ich dwójkę dzieci z dworca w Białymstoku. Chłopak czyta po polsku „Mikołajka”, zawziął się. Zelma ciągle w kuchni, gotuje całe gary, chce się odwdziżyć. 5-letnia Aze czasami płacze za babcią, ale u Lilli jakby mniej. Zelma płacze, jak rozmawia z matką. Rozmowy są krótkie, zdawkowe, nie wiadomo, czy ktoś nie słucha. Salih maluje mieszkanie w Białymstoku, do którego mają się przeprowadzić. Chce, żeby weszli na czysto. Matka Salihę nawet nie wie, że wyjechali. Ma 83 lata. Większość życia spędziła w Uzbekistanie. Kiedy pod koniec lat 80. wróciła na Krym, ich dawny wielki dom w Ałuszcze zamieniono na bibliotekę. Stoi do dziś. Zajęła kawałek wolnej ziemi, zbudowała lepiankę z białego cegła. Rosjanie powracających nie witali kwiatami. Byli tacy, którzy wybijali Tatarom okna i niszczyli uprawy. Matka Salihę rzuciła się pod traktor, który miał staranować jej ogródek. Trzymała się tej ziemi jak rzep. Nie mogli jej powiedzieć, że wyjeżdżają, może na zawsze.

Cztery łyżki, cztery widelce i nóż

Zelma: - Wyjechaliśmy 27 lutego, zaraz po tym, jak Rosja zagarnęła Krym. Tego dnia Tatarzy ruszyli pod budynek władz regionu w Symferopolu. Doszło do walk i przepychanek. Tatarów było z piętnaście tysięcy, a Rosjan tylko z pięć, a i to nie wiem skąd, bo to nie byli ludzie z Symferopola. Mówili, że przywieźli ich autobusami z Sewastopola, już zajętego przez Rosjan. Był moment, że Tatarzy chcieli wdrzeć się do budynku rady, ale Refat Czubarow, szef naszego Medżlisu, powiedział: bez drak, rozejdźcie się do domu. Salih wrócił do wioski i od razu zaczęły się telefony, że widzieli go i znowu pojedzie w bydłowych wagonach do Azji. Tych telefonów było kilka. Salih szybko zdecydował: wyjeżdżamy. Ja nie chciałam. Dom wreszcie wykończony, posadziliśmy drzewa, dzieci odchowane, lubiłam swoją pracę.

Ale syn oglądał telewizję, pokazywali zamieszki: zakrwawione twarze, szarpiących się mężczyzn. Zapytał, czy tata tam jest. Kiwnęłam głową, a on powiedział, że tak nie chce. Zaczęłam się pakować. Wzięłam cztery łyżki, cztery widelce i nóż, trochę ubrań, jedzenia. Nie wiedziałam, gdzie jedziemy. Nie kryliśmy się, że jesteśmy za Majdanem, choć Ukraina nigdy nam nic nie dała. Zdobyć coś można było tylko za łapówki. Chcesz kawałek ziemi - łapówka, szpital - łapówka, miejsce w przedszkolu - łapówka. Cieszyliśmy się, że Majdan wreszcie coś zmieni. I zmienił, ale nie tak jak chcieliśmy. Wsiadliśmy do pociągu do Lwowa. Mieliśmy ulotkę z alarmowym telefonem dla ludzi wyjeżdżających z Krymu. Zadzwoiliśmy, skierowali nas do Wielkiego Lubinia. Zamieszkaliśmy w nieczynnym sanatorium. Syn zaczął chodzić do szkoły, Salih trochę dorabiał, ale znowu zadzwonił telefon z pogroźkami, mimo że mieliśmy nowy. Ktoś nas podsłuchiwał. Mówiło się o wojnie. Ludmiła, Ukrainka, która nam pomagała, dała nam kontakt do polskich Tatarów. Przejechaliśmy granicę na dowodach osobistych.

Tatarskie Górk

Z tatarskimi uchodźcami pierwsi skontaktowali się Mucharscy. Anna zadzwoniła do ośrodka w Łodzi do Zelmie i Sewera.

- Salem alejkum – zaczęła i słyszy, że mężczyźnie po drugiej stronie trudno mówić ze wzruszenia. - Czego wam trzeba? – pyta po rosyjsku.

- Dobrego słowa, po tatarsku – pada odpowiedź. W rozmowę wrzuciła jeszcze kilka tatarskich zwrotów, których nauczyła się na Krymie.

Anna i Krzysztof Mucharscy z Białegostoku są wśród 1916 osób, które podczas ostatniego spisu w Polsce zadeklarowały narodowość tatarską. To zobowiązuje, dlatego zaangażowali się w pomoc krymskim uchodźcom. Imiona w dowodach mają polskie, popularne. W latach 70. rodzice woleli się nie wychylać. Ale na azanie, islamskim chrzcie, Annie dali Hanifa, a Krzysztofowi - Edem. Tak ich też nazywali na Krymie, o którym Edem marzył, odkąd usłyszał od prababci historię o czarownym nadmorskim kraju, gdzie zapaliła pierwszego skręta z uprawianego na stromych zboczach tytoniu. W 1915 roku na fali paniki przed nadciągającą niemiecką armią, sianej przez carskie wojska, większość prawosławnych i muzułmańskich rodzin ze wschodnich rubieży II Rzeczypospolitej uciekła w głąb Rosji. Ten epizod polskiej historii nazywa się „bieżeństwem” i ciągle czeka na godnych badaczy. Ze wsi Niekraśnuńce na Grodzieńszczyźnie (dzisiaj w granicach Białorusi) wyjechała także prababcia Edema, wówczas nastolatka. Dotarła z rodzicami do krymskiej Ałuszy. Nad Morzem Czarnym odbył się jej ślub z tatarskim bieżencem ze Skidla. Tam się urodziła babcia Edema. Nie wiadomo, ilu bieżenców przyjechało na Krym, ani ilu tam pozostało. Wedle historycznych źródeł wielu z nich w 1918 roku pomagało w tworzeniu niepodległego państwa tatarskiego na Krymie, które nie przetrwało nawet roku, bo zmiotła je rewolucja. Bieżęcy znowu uciekali, tym razem przed Armią Czerwoną. Do Polski wrócili w roku 20. Z gospodarstwa w Niekraśnuńcach zostały zgłiszczka, zaczęli do nowa, ale Sowietom wrócić do tam. W 1945 roku dziadkowie Edema wyjechali do Polski. Osiedlili się w Gorzowie Wielkopolskim, tak jak większość tatarskich repatriantów z kresów. Dzielnica do tej pory nazywana jest Tatarskimi Górkami. W latach 70. przeprowadzili się do Białegostoku, bo tu są stare meczety. Dwa lata temu Edem pojechał do prababcinego rajy – Bachczysaraju, serca krymskiego

chanatu. Zaprosiła ich poznaną w Polsce studentka: Aisza, Tatarka z Krymu. Słodkie owoce i ciepłe morze z opowieści prababci okazały się prawdą. Ale Tatarzy nie uprawiają już tytoniu. Są narodem na dorobku, wykonują po-
śledniejsze prace: kierowcy, szatniarza, handlarza. Rodzice Aiszy mieszkają w dzielnicy wybudowanej pod koniec lat. 80, po powrocie z wypędzenia. Pierwsze prowizoryczne domy, szałas, namioty „samozachwaty”, jak je nazywają, stawiali na ziemi kolchozowej, bez żadnych pozwoleń. Do dziś ci mniej zaradni mieszkają w prowizorkach. Ostatnie piętro domu Aiszy też jest niewykończony.

- Dwie ulice dalej stoi dom Mustafy Dżemilewa. Mogłem uścisnąć mu rękę na bajramowej modlitwie w meczecie – mówi Edem. - Czuliśmy się jak wśród swoich, wielkich różnic w obyczajowości czy religijności nie ma. Najbardziej dziwili się, dlaczego po tatarsku nie mówimy. Zauważyli, że Rosjanie szczególnie w kurortach byli jak u siebie, czas podawali rosyjski, ekspedientka ceny w rublach, chociaż na paragonie były hrywny. Sewastopol to muzeum socrealu i wszędzie wielkie czapy floty czarnomorskiej. Tatarzy trzymali się z boku. Sympatii między nimi a Rosjanami raczej nie było, ale nikt się nie spodziewał czegoś takiego.

Aisza na FB

Kiedy się zaczęło, kontaktowali się z Aiszą przez Facebooka. Sieć często padała.

Hanifa: - To były krótkie komunikaty: żyjemy. Najpierw totalne zaskoczenie. Nie spodziewali się, że Ukraińcy oddadzą Krym bez żadnego oporu. Aisza pisze, że kiedyś Krym był półwyspem, teraz jest wyspą, żyją jak w getcie. Nie przyjęli rosyjskich paszportów. Mogą wyjechać, ale nie mogą wrócić. Chcesz pracować - weź rosyjski paszport, chcesz posłać dzieci do szkoły – przyjmij rosyjskie obywatelstwo, potrzebujesz lekarza, pieniędzy z banku - musisz zostać Rosjaninem. To administracyjny przymus. Większość nie ma wyjścia, ale są tacy, przeważnie staruszkowie, dobrze pamiętający deportację, którzy mówią: nic nam już nie zrobicie i zostają przy ukraińskim obywatelstwie. Aisza skończyła historię w Iwano-Frankowsku. Uczyła w szkole w Bachczysaraju. Śmiała się, że ona, krymska Tatarka, uczy po rosyjsku ukraińskiej historii. Zwolniła się, kiedy zaczął się Majdan i zaczęli źle na nią patrzeć. Zna kilka języków, zarabia na tłumaczeniach. Pieniądze trafiają do ukraińskiego banku, który już jest nieczynny, a ona nie może wyjechać za granicę. Nie działa poczta, nie dochodzą emerytury. Rosjanie powykupowali ze sklepów wszystko (bo taniej): meble, odzież, zaczyna brakować jedzenia i wody (ujęcia na Ukrainie zostały odcięte). Zaczyna się mówić o katastrofie humanitarnej. Tatarskie domy znaczone są krzyżykami. Rosjanie zwalniają Tatarów z pracy. Ulicą rządzą zielone ludziki.

Nie wiadomo kto żołnierz, kto bandyta. Kto ma broń, ten ma władzę. Zgłaszane są przypadki nowych zaginięć.

Hanifa i Edem wybierali się w tym roku na Krym na obchody 70. rocznicy deportacji, ale okazało się, że to Tatarzy przyjechali do nich. Zresztą uroczystości nie było.

Aisza opowiadała, że jak co roku 18 maja chcieli zorganizować pochód. Zazwyczaj dzień wcześniej mieszkańcy tatarskich miejscowości spotykali się na głównych placach, a nazajutrz wszyscy ruszali do Symferopola na centralne obchody.

„16 maja na FB mamy sygnał, że przyjechały wojskowe samochody” – pisze Aisza. „Żołnierze stanęli na głównym placu, rozpuścili pogłoski, że kto przyjdzie, to zostanie wywieziony. Tatarzy więc nie przyszedli na plac. Zbieraliśmy się przy meczetach, na osiedlach. Nad domami nisko latały helikoptery, na rogatkach stały wojskowe ciężarówki, żołnierze rewidowali przyjeżdżających”.

Ostatnie posty od Aiszy są jeszcze bardziej zdawkowe: „Trwamy, boimy się wszystkiego. Brata mogą wziąć do rosyjskiej armii. Jest niebezpiecznie, pełno kosmitów”.

Hanifa: „Jak pomóc?”

Aisza: „Opowiadajcie, że krzywda się dzieje”.

Hanifa: „Przyjeżdżajcie do Polski”.

Aisza: „To nie wchodzi w grę. Nie po to wracaliśmy, żeby znowu uciekać. Nie ma życia poza Krymem”.

Wyobraź sobie

Tatarscy przywódcy, w tym Dżemilew, apelują, by na razie Tatarzy nie opuszczali Krymu. Nawołują do biernego oporu, pokojowych demonstracji, zgodnie z krymską tradycją walki bez przemocy. Większość ich posłuchała, z 280-tysięcznej społeczności wyjechało kilka tysięcy, mówi się góra o trzech. Nie ma dokładnych statystyk.

Selim Chazbijewicz nie spodziewa się w Polsce tłumy uchodźców.

- Chyba że zaczną się prześladowania – zastrzega.

- Zaczną się – Osman jest tego pewien.

Lilla setny raz zastanawia się, co kieruje uchodźcami z Krymu. Widzi przecież, że nie przyjechali tu z przyczyn ekonomicznych, tylko po dostatniejsze życie. Oglądała zdjęcia z nadmorskich kurortów, gdzie mieszkali. Widziała na nich dobrze urządzone, zadbane domy (pewnie tutaj takich wygód nie będzie), bujne ogrody, radosne rodzinne spotkania, pełne stoły.

- I ciągle zadaję sobie pytanie, co musiałoby się stać, żeby zapakowała kilka rzeczy, wzięła dzieci, zostawiła dom, swoje kąty, całe życie i pojechała w nieznaną. Gdzie jest ta granica lęku czy dumy, że człowiek decyduje się na taki skok?

Ali, 20-letni, najstarszy, syn Osmana, nie skończył pierwszego roku dziennikarstwa w Symferopolu. W ośrodku nudzi się. Zaczął więc pisać artykuły. To jego odpowiedź na pytanie: dlaczego? Wysłała mu raczej przypowieść. Zaczął tak: „Wyobraź sobie, że mieszkasz w bezpiecznym domu, wyrosłeś w nim”, i dalej streszczając: zajmują cię proste sprawy - co z piątkowym wieczorem, jaki model komórki sobie kupić. Nagle z samego rana ktoś wyłamuje drzwi. Wchodzi jak do siebie. Ci, co mieli strzec domu, sami wpuścili dzikich lokatorów. Nowi zaczynają się rządzić, przestawiają meble, mieszają w garnkach, panoszą się w twoim fotelu. Protestujesz: pokazują drzwi. Upominasz się o swoje: wałą w gębę. Wołasz pomocy: cisza, sąsiedzi zasłaniają okna. Myślisz: to jakiś koszmar, ale to dzieje się naprawdę. Wyobraź sobie, że nie masz już domu.

Imiona osób starających się o status uchodźcy w RP zostały na ich prośbę zmienione

Urzuła Dąbrowska

DROGI IMIGRANTÓW



Śniźne na Ukrainie, 80 km od Doniecka, 17 czerwca 2014 roku. Tu schronienie znalazło 57 uciekinierów (w tym 31 dzieci) ze Słowiańska. W mieście tym toczą się walki regularnej armii ukraińskiej z tzw. separatystami. W związku z konfliktem dziesiątki tysięcy ludzi opuszczają domy i szuka schronienia, głównie w Rosji. Na wschodzie Ukrainy powoli zaczyna brakować wody, energii i żywności.

Fot. Daniel Mihailescu/AFP/East News

Europa ma to gdzieś

- ⊗ Problem Lampedusy to twój problem.
- ⊗ Rozumiesz?

Jarosław Mikołajewski

Na wakacje jadę do Włoch. Tak już muszę, co roku. Choć na dwa dni, na tydzień. Przez granicę przejeżdżam 25 lipca, zatrzymuję się na pierwszej stacji, piję kawę, kupuję gazetę. Pierwszą z brzegu – „Liberò”. Na pierwszej stronie trzy fotografie: stłoczeni na dworcu centralnym w Mediolanie, leżący na schodach przy Porta Venezia, śpiący wśród przechodniów na rzymskim Eskwilinie. Nad zdjęciami tytuł: „Włochy to obóz dla uchodźców”. Pod spodem, mniejszymi literami: „Już dziś 80 tysięcy biwakuje na dworcach i w parkach miejskich. W sierpniu dołączy kolejne 50 tysięcy, i sytuacja stanie się dramatyczna. Lecz Europa ma to gdzieś. A rząd nie wie, w co ma włożyć ręce”.

Kiedy 3 października zeszłego roku o milę od Lampedusy zatonała łódź z uchodźcami z Afryki Północnej i Środkowej, świat w osłupieniu patrzył na setki ciał układanych na pomoście, potem na rzędy brązowych trumien i białych trumienek w hangarach. I przez kilka dni wydawało się, że z tragedią nastąpił przełom. Że Europa stanie się solidarna. Z Afrykanami, którzy uciekają od wojen i głodu, i z Włochami, które – jak głosi tytuł instalacji Mimma Paladina ustawionej na Lampedusie, frontem do Afryki – są „bramą do Europy”. Dziś wiemy, że do przełomu nie doszło. Dlaczego?

„Co kilka dni – mówił mi w maju Andrzej Mencwel - ludzie toną w drodze do Europy, niekiedy setkami, a my uważamy, że to nie jest nasza sprawa. Kiedy poczujemy się współodpowiedzialni i zrozumiemy, że problem Lampedusy jest również naszym problemem? Musimy czekać, aż do nas



Włoscy ratownicy ocalili 83 imigrantów, którzy byli na dolnym pokładzie statku płynącego z Afryki Port na wyspie Lampedusa, 21 lipca 2014.
Fot. Rex/East News

ruszy masowa, nielegalna i legalna, imigracja ze świata? Wtedy będzie za późno. Już teraz mamy dość materiału do przemyśleń, gdyż świat dobrze zna problematykę wielomilionowych mniejszości, które są religijnie, kulturowo i politycznie inne: Wielka Brytania, Francja, Niemcy... To bardzo poważny problem, dlaczego więc nie bierzemy udziału w jego rozwiązywaniu? Przecież on musi być rozwiązany intelektualnie, zanim zostanie rozwiązany praktycznie”. „W naszym stosunku do Europy czy Unii Europejskiej – diagnozował profesor - wciąż dominuje postawa klienta. Klient nastawiony jest na korzyść własną, a nie czuje się odpowiedzialny za produkcję” (...). Czyli za wytwarzanie świata, w którym żyjemy, za rozwiązywanie jego problemów, pomnażanie wartości.

Problem nie został rozwiązany ani myślowo, ani praktycznie, choć rząd włoski na pewno zminimalizował liczbę ofiar przepraw przez Morze Śródziemne. Zgodnie z programem „Mare Nostrum” uchodźcy, którzy opuszczają Afrykę, są przejmowani możliwie szybko, kiedy tylko odbiją od swego brzegu. System nie jest doskonały, wciąż dochodzi do utonień, ale wolno przypuszczać, że bez pomocy włoskiej floty utonąłoby jeszcze wiele setek ludzi na łodziach jak ta, którą w październiku pochłonęły pożar i woda. Problemem prawie nietkniętym pozostaje dalszy los uchodźców, których udało się dowieźć na ląd.

Byłem na Lampedusie na trzy dni przed tamtą tragedią, rozmawiałem z burmistrzem, panią Giusy Nicolini. Z wielką godnością, realizmem i poczuciem osamotnienia opowiadała o swojej wyspie. O ośrodku

przesiedleńcy, który ma trzysta miejsc, a ponad tysiąc przybyszów. O buncie mieszkańców Lampedusy, który wybuchł, kiedy uchodźców zrobiło się więcej niż rdzennych mieszkańców, kilka tysięcy. O wrażliwości sporej ich grupy, która zbiera dla Afrykanów odzież i żywność. O pustych obietnicach rządów. O premierze Berlusconi, który nazwał imigrację „ludzkim tsunami” i chciał pomóc wyspie, zakładając na niej pola golfowe. O grobach, którym sama próbuje nadać tożsamość, umieszczając tabliczki w rodzaju: „Tu spoczywa ciężarna, około dwudziestoletnia kobieta, pochodząca przypuszczalnie z Afryki Subsaharyjskiej”. Żadnej poezji, żadnych złotych myśli. Tylko tyle, ile wiadomo. Prawie nic. Przejmująca, stylistyczna niezgrabność.

Dzwonię do pani burmistrz po 10 miesiącach.

- **Co dzieje się na Lampedusie?**

- Nic nowego.

- **Ile osób jest w Centrum Identyfikacji?**

- Nie ma nikogo, ośrodek jest w remoncie.

- **Nikt u was już nie ląduje?**

- Nie, bo nie ma ośrodka. Statki, które przejmują uchodźców, wiozą ich na Sycylię. Teraz problemy są tam.

- **Czy coś się zmieniło od 3 października?**

- Niby co?

- **Na przykład stosunek Europy do swojej „bramy”.**

- A jak pan to widzi? Wydaje się panu, że Unia coś zrozumiała? Gdyby tak było, na pewno byśmy o tym słyszeli. Ale o niczym takim chyba nie słyszemy, prawda?...

Dodawanie jest proste: 80 000 tych, którzy już są obecni, dodać 50 000 tych, którzy już zmierzają do Włoch, daje 130 000. Co z nimi zrobić? Zgodnie z Traktatem Dublińskim za uchodźców odpowiedzialny jest pierwszy kraj, na ziemi którego postawią stopę. Za opuszczających swój kontynent Afrykanów odpowiedzialne są więc głównie Włochy. Lato to wielki sezon migracji, morze jest wtedy spokojne. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych apeluje do regionów, prowincji i miast, żeby solidarnie organizowały akcję przyjmowania gości z Afryki. „Jeśli rząd nie zrozumie natychmiast – cytuję „Liberò” słowa gubernatora regionu Veneto – że nie jesteśmy peryferiami Imperium ani śmietniskiem Włoch (...), może pan być pewny, że zaraz wybuchnie tu rewolucja”. Na pytanie dziennikarza, czy imigrantów nie można umieścić w opuszczonych koszarach, wybucha gniewem: „Uczestniczymy w fałszywej solidarności. Przewożą tych biedaków do miejsc, które są jak szamba pod gołym niebem. Koszary w Codognè są opuszczone od 30 lat. Wyobraża pan sobie, że w kilka dni można je przerobić na mieszkania dla dziesiątek osób? (...) Zamiast wstrzymać program „Mare nostrum” i pomóc tym ludziom w ich własnym domu, wydajemy miliony euro, żeby przywozić ich tutaj i ściągać na siebie kupę problemów”.

To przestało być Mare Nostrum: nasze morze. Włochy to jest już ich dom - komentuje naczelny „Liberò”, Maurizio Belpietro. Zaimek „oni” nabiera coraz bardziej niebezpiecznych zabarwień. Już po zamachu na Nowy Jork Oriana Fallaci wściekała się na „nich”, imigrantów obsikujących ściany

Jarosław Mikołajewski

poeta, pisarz i tłumacz z języka włoskiego, autor książek dla dzieci, eseista i publicysta. Ostatnio opublikował tomiki poezji „Zbite szklanki” (2010), „Na wdechu” (2012) oraz zbiór esejów pt. „Rzymska komedia” (2011), który zdobył Nagrodę Literacką m. st. Warszawy oraz był nominowany do literackiej nagrody NIKE 2012.

florenckiej katedry. Dziś gubernator Veneto przyznaje, że są wśród „nich” również ludzie „porządni”, ale po chwili zauważa, że uchodźcy rzadko należą w swoich ojczyznach do elit. I dodaje, że „ze znaczną agresją powróciły choroby, u nas już wytępione. Nie dalej jak dwa tygodnie temu w Montebelluna, w prowincji Treviso, pewna kobieta zmarła na gruźlicę, a dwoje dzieci zostało nią zarażonych”.

Nad morzem, nad którym jestem, wzdłuż brzegu co chwilę przechadzają się przybysze z Afryki. Sprzedają włóczkowe bransoletki, lniane sukienki, koraliki. Szybko się uczą od miejscowych cwaniaczków: inną cenę mają dla cudzoziemców, zwłaszcza dla Niemców, a inną dla Włochów. Wczoraj rozeszła się wiadomość, że w sąsiedniej miejscowości jakiś chłopak złapał torbę kąpiącej się turystki i próbował uciec. „Tylko ty tego nie rób”, zaśmiewa się starsza Włoszka i grozi palcem czarnoskóremu sprzedawcy ręczników. Nazajutrz w miejscowej gazecie czytam, że złodziejem jest Toskańczyk, chłopak z Grosseto.

Jak w każdym sezonie psychozy, tak dziś w kwestii imigrantów nic nie jest jednoznaczne. Argumenty ksenofobii i humanitaryzmu ścierają się na obszarach karykatury. Przez cztery dni, jakie upłynęły od mojego przyjazdu, Włochy żyją wyborem na prezesa federacji futbolowej FIGC, a raczej słowami jednego z kandydatów. Znany działacz piłkarski Carlo Tavecchio miał powiedzieć o jednym z piłkarzy Lazio, że „jeszcze niedawno jadł banany”. Oburzenie wyrazili już wszyscy, po których można się było tego spodziewać, z UEFA i FIFA na czele. Tavecchio zapewnia, że nie miał niczego złego na myśli, ale jedno głupstwo pociąga za sobą następne. I oto dziś, 31 lipca, kiedy piszę te słowa, liczba czarnoskórych graczy w poszczególnych klubach staje się kryterium kuriozalnego rankingu. „La Nazione” publikuje diagram, z którego można wyczytać, gdzie gra ich najwięcej, gdzie najmniej. Na czele jest Udinese z 9 piłkarzami. W Milanie gra ich 8, w Interze – 7, w Lazio – 6, w Juventusie i Romie – 4. I tak dalej, aż do Empoli, Ceseny i Sassuolo, które mają po 1 gracza o widocznym dla wszystkich afrykańskim rodowodzie. Towarzyszy temu zestawienie najlepiej zarabiających czarnoskórych piłkarzy: Pogba - 45 mln, Balotelli – 27, Asamoah - 22...

Język jest zawsze awangardą nastrojów i poglądów. Włoski powinien przestrzec przed czymś Włochów, podobnie jak polski musi przestrzec Polaków. Dla zabawy pokazuję zestawienie czarnoskórych piłkarzy właścicielowi baru w miejscowości nadmorskiej w Toskanii, pytając, czy Włosi przypadkiem nie stają się rasistami. „O Włochach nic nie wiem – odpowiada ze śmiechem. - Ja jestem”.

Jarosław Mikołajewski

DROGI IMIGRANTÓW



Lampedusa, Włochy, 14 marca 2011 roku.

Tunezyjscy imigranci uratowani przez straż wybrzeża w pobliżu wyspy. Ich statek tonął. Liczba imigrantów z Afryki, którzy dopłynęli ostatnio do Lampedusy, idzie w tysiące. Lokalne centrum imigrantów dysponuje 850 łózkami. Nie ma miejsc.

Fot. Eric Vandeville / ABACAPRESS/East News

Miasto drugiej szansy

☀ Po Turkach i Arabach największą grupą emigrantów w berlińskiej dzielnicy Neukölln są Polacy

Karolina Przewrocka

Słychać go wszędzie - na berlińskich ulicach, na placach, w metrze. W zbiorze dźwięków, które na tle języka urzędowego wychwytuje ucho przyjeźdnego, polski pojawia się niemal tak często, jak arabski czy turecki. Trochę tylko może bardziej niż tamte pasuje do kontekstu: szerokiej Karl Marx-Allee, monumentalizmu Alexanderplatz czy bloków z betonowej płyty. Przy Warschauer Strasse w dzielnicy Friedrichshein, w metrze czy przy wieży telewizyjnej polski brzmi jednak trochę inaczej. Bełkotliwie, gorzko, kaleko. Używają go bezdomni - zimą owinięci w koce, latem porożkładani na rozgrzanych słońcem chodnikach, w nieodłącznym towarzystwie butelek po alkoholu i toreb z lichym dobytkiem. Czasem towarzyszy im pies, a czasem pozbawiona którejś struny gitara. Tak jak u młodych z przystanku metra przy Friedrichstrasse, którzy popołudniami śpiewają tu piosenki zespołu „Łzy”.

Bracia w chłodzie

Zimą miasto tonie w plakatach. „Podaruj ciepło”, „Zobaczysz bezdomnego, dzwoni”, „Chciałbyś tu nocować?” na tle grafiki ze śpiącym w sklepowej zamrażarce. Tak na problem tysięcy bezdomnych, którzy koczują na ulicach Berlina, uczuła mieszkańców Berliner Stadtmission – wspólna inicjatywa miasta i Kościoła ewangelickiego. W ramach zimowej Kältehilfe – „pomocy w chłodzie” – organizuje zbiórki pieniędzy, ubrań, żywności, specjalnym busem wysyła na ulice wolontariuszy. Granatowy Kältebus – dziś znak rozpoznawczy zimowych misji – jeździ po Berlinie od początku listopada do końca marca każdego roku. Już 20 lat. Dokładnie od tego czasu, gdy zamarł pierwszy bezdomny. Miasto zareagowało natychmiast – już następnej nocy na ulice wyjechał volkswagen z wolontariuszami, ciepłymi kocami, termosami z herbatą. Od tamtego czasu udzielono pomocy dziesiątkom tysięcy bezdomnych. Tym, którzy odmawiają pomocy i przy minusowych tempe-

raturach planują nocować na zewnątrz, wolontariusze proponują dowóz do jednego z 500 oferowanych przez miasto miejsc noclegowych. Chorym – pomoc lekarza. Rezultat? Od kilkunastu lat w Berlinie zimą nie odnotowano żadnej ofiary śmiertelnej.

Pomyślność miasta

Kältebus ma swojego anioła. Choć pewnie Polak Artur Darga, bo o nim mowa, oburzyłby się na takie sformułowanie. Swoje trzy lata na ulicy i tamto listopadowe popołudnie 2002 roku, kiedy sięgnął po ostatnią działkę narkotyku, pamięta wciąż bardzo dobrze. Uzależnienie zepchnęło go na ulicę - Kältebus go z niej wyciągnął. Od pięciu lat Darga pracuje dla Berliner Stadtmission. Spłaca dług za podarowane mu drugie życie.

Darga zna ulice Berlina jak własną kieszeń. 80 procent tych, których tam spotyka, to obywatele krajów Europy Środkowo-Wschodniej, krajów bałtyckich, Rumunii, Bułgarii. Gdy w czasie nocnych podróży Kältebusem po mieście podchodzi do bezdomnych, odruchowo wita się po niemiecku i po polsku. Nie bez powodu: największą grupę stanowią tu właśnie Polacy. „Szukamy ludzi, którzy o własnych siłach nie są w stanie znaleźć ciepłego noclegu. Są pod wpływem alkoholu, są zranieni, nie znają Berlina. Bierzymy odpowiedzialność za tych, którym grozi zamrożenie” - mówi Darga w filmiku promującym działalność Kältebusu na stronie Berliner Stadtmission. „Ważne, by pochylić się nad bezdomnym, klękając obok, rozmawiać z nim, patrząc mu w oczy, a nie z góry, stojąc”.

„Starajcie się o pomyślność miasta” – głosi napis na granatowym volkswagenie. Księga Jeremiasza, rozdział 29. Autor wybrany nieprzypadkowo. Zresztą nie byłoby na Kältebusie cytatu z Biblii, gdyby nie przekonanie, że w inicjatywie bierze udział Ktoś jeszcze. Bez Boga nie ma pomocy, uważa Darga. „Możemy ją nieść tylko wtedy, gdy oddamy tę sprawę w Jego ręce. Codziennie modłę się o to, by Bóg chronił naszą ekipę. Nigdy nic złego nam się nie stało, ale kto wie, na kogo można na ulicy trafić”. Kältebus to jedna z wielu inicjatyw Berlina, które za cel mają walkę z bezdomnością. Stadtmission Berlin prowadzi punkty pomocowe przy dwóch dworcach kolejowych: głównym Hauptbahnhof i okrytym złą sławą Dworcu Zoo. Bezdomni mogą tam dostać ciepłe jedzenie, czyste ubrania, śpiwory. Mogą też poprosić o pomoc – miasto oferuje wówczas udział w projektach mających na celu wyjście z nałogu, znalezienie pracy i własnego dachu nad głową. Tym, którzy chwilowo go nie mają, pomocą służy Unterbringungsleitstelle (BUL) – stołeczna centrala do spraw zakwaterowania, w której dzielnice zgłaszają wolne miejsca w punktach wyznaczonych przez miasto. Dzięki bazie komputerowej centrala sprawnie kieruje wówczas osobę poszukującą dachu nad głową pod wyznaczony adres.

Miasto finansuje też poradnie, m.in. dla przybyszów z Rumunii czy Bułgarii. W Südost Europa Kultur czy Amaro Foro mogą uzyskać niezbędne informacje, pomoc prawną i wziąć udział w projektach, które pomogą im odnaleźć się w niemieckiej rzeczywistości. Berlin wspiera projekty dla osób, które zdecydowały się porzucić ulicę, nałóg i rozpocząć normalne życie, na przykład te prowadzone przez stowarzyszenie Gangway. Wraz z napływem bezdomnych – obywateli krajów Unii - rośnie potrzeba opieki medycznej. Tej nie odmawia się tu nikomu, w całości finansowana jest z kasy miasta. Bezdomni, osoby bez aktualnego ubezpieczenia czy z nieregulowaną sytuacją pobytową mogą korzystać z wyznaczonych przychodni, w pogotowiu czekają też karetki Caritasu i placówki

Malteser Migranten Medizin. Wsparcie medyczne miasto zapewnia przy współpracy z organizacją społeczną Gebewo, fundacją Jenny De la Torre, Humanistischer Verband Deutschlands i innymi.

Mekka imigrantów

„Niemieccy bezdomni czują się wypierani” – poinformowała w styczniu w berlińskim dodatku gazeta „Die Tageszeitung”. Nic dziwnego: liczba bezdomnych obcokrajowców w Berlinie znacząco wzrosła po rozszerzeniu Unii w 2004 roku. Według danych berlińskiego senatu do spraw socjalnych sięga obecnie 11 tysięcy – tylu bezdomnym miasto daje tymczasowo dach nad głową. Najwięcej, bo ponad 2 tysiące, mieszka w Neukölln - dzielnicy zdominowanej przez imigrantów i mieszkańców z problemami społecznymi. Wie o tym Bernd Szczepanski z wydziału do spraw społecznych rady dzielnicy – urzędnik z poczuciem misji i polskimi korzeniami. Za biurkiem siada niechętnie, woli pracę w terenie. Odwiedza noclegownie, z Arturem Dargą jeździ Kältebussem. Pyta, jak może pomóc. Zeszłej zimy zdziwił go nagły wzrost liczby kobiet koczujących na ulicach i to, jak wielu bezdomnych w Neukölln mówi po polsku. I ilu z nich nie chce żadnej konkretnej pomocy.

Dlaczego łądają na ulicy? - Rozbiła im się rodzina, przeżyli załamanie, popadli w dług, alkoholizm, narkomanię. Jest też duża grupa osób, które „na stałe” osiedlają się w parkach, pod mostami, i nie chcą szukać pomocy i stałego dachu nad głową, bo to oznaczałoby np. konieczność zerwania z nałogiem. To osoby, które – by przystosować się do stałego mieszkania – musiałyby zostać poddane terapii i intensywnej opiece. Czynniki, które wymieniam, są niezależne od tego, czy bezdomny jest Niemcem, czy też Polakiem czy Bułgarem – dodaje Szczepanski. To jednak właśnie bezdomnych z Europy Środkowo-Wschodniej spotyka na ulicach Berlina najczęściej. W Berlinie bez stałego meldunku nie można liczyć na pracę, i odwrotnie. Nie wiedząc o tym, przyjeżdżają w dobrej wierze ze skromnymi oszczędnościami, szukają pracy, a gdy coś nie wychodzi lub gdy zostaną oszukani – wolą zostać na ulicy, niż wracać do kraju z poczuciem porażki. Ilu ich jest dokładnie? Trudno powiedzieć: konkretnych statystyk miasto jeszcze nie prowadzi, również z powodów technicznych: bezdomni łatwo się przemieszczają, część nie zgłasza się po pomoc, można nie wiedzieć o ich istnieniu. – Tylko zimą, gdy w związku z obniżającymi się temperaturami zjawiają się w ogrzewalniach, budujemy pełniejszy obraz tego, kto zamieszkuje na naszych ulicach. Utworzenie Unterbringungsleitstelle z cyfrową bazą danych jest pierwszym krokiem do prowadzenia wiarygodnych statystyk – na wyniki trzeba jednak poczekać – mówi Bernd Szczepanski. Oprócz Kältebusu zimą dzielnica Neukölln finansuje przez cały rok nocne kawiarnie (Nachtcafes) i ogrzewalnie (Tee- und Wärmestube), jak ta przy Weiserstraße, gdzie bezdomni mogą się umyć, przespać i zjeść coś ciepłego. Opieką nad bezdomnymi zajmują się też w dzielnicy trzy wspólnoty kościelne.

Polacy są trzecią - po Turkach i Arabach - największą grupą emigrantów w Neukölln. Jak mówią lokalni urzędnicy, są kooperatywni, łatwo się asymilują, nie sprawiają problemów, nie wywołują sąsiedzkich kryzysów. Nawet ci bezdomni: jeśli ktoś rozrabia na ulicach, to zwykle nie są to Polacy. Od tureckich czy arabskich sąsiadów mają może tylko nieco mniej szczęścia. – Wśród bezdomnych arabski czy turecki słyszy się rzadziej. Sądzę, że jest to

Karolina Przewrocka
dziennikarka
i wolontariuszka
Fundacji im. prof. Schorra.

efektem bardzo silnych więzów rodzinnych obecnych w ich kulturach. Rodziny są duże, trzymają się razem. Indywidualizacja nie jest tak daleko posunięta jak w przypadku Niemców, czy nawet Polaków – mówi Bernd Szczepanski.

Praca u podstaw

W urzędzie Neukölln sprawami osób bezdomnych zajmuje się szesnastu pracowników. Gdy Szczepanski obejmował urząd w 2012 roku, nie było żadnej konkretnie wyznaczonej do tego osoby. – W kwestii przyznawania świadczeń panowała względna swoboda: wszystkim bezdomnym osobom, które aplikowały o pomoc, przyznawano środki bez większej kontroli ich użytkowania. Dzielnica straciła przy tym mnóstwo pieniędzy. Dlatego dwa lata temu zabrał się do regulacji tego tematu. Dziś wiemy, że zatrudnianie nowego personelu się opłaciło: zaoszczędziliśmy miliony, a pomoc jest sensowniej udzielana – mówi urzędnik. Jest przekonany, że oszczędzanie na personelu czy środkach jest w przypadku walki z bezdomnością dużym błędem. – Rozwiązywanie problemów tu na miejscu nie ma sensu, jeśli nie dociera się do źródeł. Nasi urzędnicy jeżdżą więc do krajów, z których mamy najwięcej emigrantów. Dowiadują się, jakie są przyczyny emigracji, i próbują wywierać wpływ na władze, by podejmowały odpowiedzialność za zmianę sytuacji. Na przykład w Rumunii czy Bułgarii rozmawiamy o problemie dyskryminacji Romów, który wypycha ich za granicę – mówi Szczepanski.

O Romach bywa w Neukölln głośno. Głównie z powodu tzw. Roma-Häuser: kamienic wynajmowanych im przez właścicieli na pozornie preferencyjnych warunkach. W Neukölln jest ich kilkadziesiąt. Dochodzi do skandali: właściciele żądają wysokich sum za wynajęcie miejsca w pokoju. Nie płacą rachunków, więc mieszkańcy zimą pozostają bez wody i prądu, na podwórkach piętrzą się śmieci. Miasto ingeruje, angażując do pomocy wszystkie możliwe służby: policję, urzędy, organizacje społeczne. Zmusza właściciela do zmiany postępowania – tak, by kilkadziesiąt rodzin z dnia na dzień nie znalazło się na bruku. Dla Romów tworzy się zresztą osobne projekty. Szkoli się ich, by byli bardziej samodzielni i nie dawali się wykorzystywać. W ubiegłym roku w reakcji na zwiększającą się liczbę Romów z Bułgarii i Rumunii senat miasta przyjął w tym celu specjalny plan działania. W berlińskich szkołach działają tzw. Willkommen Klasse – klasy zerowe dla dzieci imigrantów z naciskiem na naukę języka niemieckiego. Romskie dzieci są ich częstymi beneficjentami. Projekty dla bezdomnych to w Berlinie nie tylko domena miasta. Organizacji zrzeszających wolontariuszy-streetworkerów i nietypowych inicjatyw w kooperacji z miastem lub prywatnych jest bez liku. Takich jak Querstadtein, w której byli bezdomni, a dziś nietypowi przewodnicy miejscy oprowadzają turystów i mieszkańców po stolicy widzianej oczami najuboższych. Lub „Straßenfeger” – dwutygodnik wydawany z prywatnej inicjatywy, sprzedawany w metrze i na ulicach przez bezdomnych. Większa część przychodu z każdego egzemplarza zostaje w ich kieszeniach.

Wśród bezdomnych krąży ponoć legenda, że Berlin to miasto drugiej szansy. Że zasiłki dają tu od ręki, a kaucja za znalezioną na ulicy butelkę wystarcza na kilka bułek lub ćwiartkę wódki. Jeśli w każdej legendzie jest cząstka prawdy, tak i tu coś się znajdzie. W stolicy Niemiec można bowiem życie przegrać lub wygrać. - Można też i jedno, i drugie - dodają berlińscy społecznicy.

Karolina Przewrocka

DROGI IMIGRANTÓW



Park Lane, Londyn. Rumuńscy bezdomni tak spędzają tu noce.

Fot. Jeremy Selwyn/Evening Standard/East News

Idący

☀ *Jeśli Bóg zdecyduje, że człowiek ma umrzeć
w określonym miejscu,
da mu powód, by tam się udał.*
Mahomet

- Skądżeś?
- Jestem Polką z Triestu.
- A ja jestem Idący.
- Czy wiesz, co to jest morze?
- A czy ty wiesz, co to jest wygnanie?

Rozmowa z pasterzem nad rzeką Kabul tak mogłaby się potoczyć. Opowiedziałabym mu o brzegu mojego morza, na które wyskakują z tureckiego statku ukryci w ciężarówkach afgańscy chłopcy. Jak Dawud, który niedobrze wyskoczył i uszkodził sobie kręgi, ale udało mu się potem ściągnąć do Triestu braci, mamę i siostrę. Jak Hamid, któremu wśród wysp Dodekanazu pękło wiosło, ponton kręcił się w kółko, ale on się nie utopił. Czternastoletnia Fatima, siostra Dawuda, przyleciała samolotem i gdy popłynęłyśmy po raz pierwszy żaglówką, nie wiedziała, że morze jest słone. Pytanie: skąd przybywasz? bierze z ciebie miarę południkami jak krawiec, wyznacza kurs na opuszczony brzeg. W Afganistanie nomadzi wymierają, bo nie mogą wędrować, a jego osiadli mieszkańcy koczują, by ocaleć. Wysyłają swoje dzieci do Europy, by choć jedno przeżyło. Pierworodnego. Hamid w dzieciństwie często śnił, że idzie dokądś w ciemności. Szedł i szedł, mama płakała, co to za sny, co z niego wyrośnie. Ojciec wyuczył Koranu całą piątkę, nie chciał dać dzieci mułom z Pakistanu. Gdy talibowie drugi raz złapali Hamida, był rok 1998, pełnia reżimu. Znów ulica patrzyła na kaźń, miał piętnaście lat, loki i nie miał brody. Przywiązali go do krzesła, bili w stopy. Deskę najpierw moczy się w zimnej wodzie, by nie pękła, ale najbardziej bolało to patrzenie. Uciekł do Teheranu, chciał uczyć się na policjanta w Moskwie, ojciec dobrze wspominał Rosjan. Owszem, zabijali, ale za to biednym pomagali, prawie jak muzułmanie. Moskwę zobaczył z samolotu. Złapali na lotnisku, z paszportem czeczeńskiej mafii. Jak wrócić do domu bez pieniędzy, spojrzeć ojcu w oczy? W Turcji paszport kurdyjskich przemytników nie wzbudził podejrzeń. Odkleili cudze zdjęcie, przykleili Hamida. Siedział w więzieniach i aresztach Afganistanu, Iranu, Grecji, Buł-

Fragment książki Moniki Bułaj



Monika Bułaj
dziennikarka, fotografka
i dokumentalistka.
Zajmuje się mistycyzmem,
kultem śmierci oraz
tematami społecznymi:
mniejszościami,
wędrowcami i emigrantami
głównie w Azji, Europie
i Afryce.
Publikowała w „Corriere
della Sera”, „GEO”,
„National Geographic”,
„Courier International”,
„La Repubblica” i wielu
innych europejskich tytułach
gazet.
Autorka książek m.in. „Boży
Ludzie”, wyd. BOSZ 2011.

garii, Węgier, Austrii, Francji i Anglii. Najgorsi są Węgrzy i Grecy. Bułgarzy biją na odlew czym popadnie i nie patrząc, ale na Węgrzech siedzisz sześć miesięcy z mordercami. Uciekał przed odciskami swoich palców. Biegł w nocy przez lasy Europy, a one goniły za nim w sieci internetu. Pasztuński chłopiec o szmaragdowych oczach i profilu Nefertiti, który marzył o tym, by zostać detektywem. I jego bezpieczne linie papilarne.

Zimą, gdy wieje bora, nocna wycieczka po stacji w Trieście to lekcja azjatyckiej geografii i europejskiego cynizmu. Cienie koczujących po kątach to mieszkańcy Kabulu, Dżelalabadu i Ghazni, ofiary konwencji Dublinu. W pierwszym kraju Europy mają poprosić o azyl, ale w Grecji strach, Bułgarzy też okrutni, jak dotrzeć do Anglii lub Norwegii, gdzie szkoły i praca? Idą, póki sił starczy. Boją się zostawić odciski palców. Boją się, że złapią, odeślą do Grecji, a tam więzienie albo bojówki Złotego Świt, do Kabulu, a tam zabijają. Uciekają od gwałtów, talibskich madras, obozów szkoleniowych dla kamikadze, bomb spadających na wioski i obozy uchodźców. Pierworodni mają myśleć o pozostałych. Pracują jak niewolnicy w Pakistanie, zamarzają w górach Kurdystanu, duszą się w ciężarówkach, giną z rąk szmalcowników w Stambule, toną w *Mare Nostrum*, pomiędzy luksusowymi jachtami i plażowiczami w gaciach.

Idą do Europy z wiatykiem, jednym słowem, na przykład: „Roma-Ostiense”. Na stacji kolejowej w rzymskiej Ostiense kolejarz krzyczy: „Tam talibowie, nie idź, bo zabiją”. „Talibowie” goszczą mnie herbatą pod celofanem, bo pada. Następnego dnia do obozu wjeżdżają buldożery. Miażdżą buty, ubrania i resztki tego, co może zabrać ze sobą uciekający. Trzy postaci kryją się po drugiej stronie ulicy, siwe kosmyki nastolatków. To Hazarzy z Ghazni, szli na piechotę cztery tysiące kilometrów i brakuje im następnego słowa. Stracili ojca, ojczyznę, język ojczysty i w mgnieniu oka nauczą się pisać i śnić w nowym języku. Może, jak Alukowi Amirowi, od razu wyjdą im wiersze.

Wirgiliusz zaprowadził mnie raz na urwisko Rozandry. Za głazem gniło kilka par spodni, bluzy, rozdeptane buty i strzępki paszportów. Tłumaczył: - Zrzucali dresy i zakładali białe skarpetki. Lśniące buty z czubem i garnitur z czasów Tito, trzymane jak skarb na tę okazję. Wychodzili z lasu do Triestu wystrojony jak na cygański ślub, włoska policja od razu ich wyłapywała. Z daleka było widać, że z Sarajewa.

Po dwudziestu latach granicy nie ma, inne miasta są bombardowane, a oni wciąż idą nocą i do zginiętych bośniackich swetrów dorzucają dziurawe afgańskie koszule.

Jest człowiek, który ucieka od wojny, i granica.

- Wiele granic - mówi Hamid. - Przełęcz Chajber i góry Kurdów koło Orumiyeh w śniegu. Potem widzisz rzekę, ale mówią ci, że to jest morze i że tamten brzeg to wyspa. Skąd mogłem wiedzieć, jak wygląda morze? Najważniejsze, by przedziurawić ponton. Za wcześnie, utopisz się. Nie zdążysz, grecka policja każe zawrócić na brzeg Turcji. W ciężarówce należy włożyć na głowę plastikową torbę. Za wcześnie, udusisz się. Za późno, na granicy wykryją oddech. Rzeka na granicy Bułgarii. Płytko, ale z płatami kry. Wyszedłem na brzeg w sztywniejących z mrozu ubraniach i już tylko modliłem się, by pojawiła się policja. W Macedonii podjeżdżali motorami, krzyčili: „policja!”, świecili po oczach, wrywali portfele. Złodzieje. Potem Kosowo? Skąd miałem wiedzieć, że istnieje Kosowo. Niby blisko, ale co sto metrów urwisko, szedłem granicą dwa dni i dwie noce. Tam meczety, salam alejkum, skądżeś bracie. Chciałem się pomodlić, odpocząć, ale byłem nieczysty. Do Serbii idzie się łąką. Łatwo, ale przez pięć kilometrów widać cię jak na dłoni, trzeba się wsunąć w pas cienia między przeczesującymi trawę reflektorami. Spałem w torbie na śmieci. Potem Słowacja, wystarczy skryć się na śniegu pod prześcieradłem. Tak łatwo, że dwa razy przeprowadziłem innych. Szedłem nocą, miesiącami, jak w snach dzieciństwa.

Dalej, na północ, jest inny kraj i inna rzeka, w której Józefa, która potem trzymała mnie do chrztu, pływała w tę i z powrotem, ukryta w wianku tataraku. Z listami i dokumentami, z mężem do żony, z narzeczoną do ukochanego.

Hanna Krall napisała: „Rzeka dzieliła świat na dwie wielkie połowy, dobra i zła. Po jednej stronie ratowano Żydów, a po drugiej stronie denuncjowano i zabijano. Człowiek przepływał rzekę – i był uratowany”.

No więc to jest Triest, miasto, do którego wracałam z Kabulu, a Wirgiliusz witał mnie pieśnią, patrząc mi w oczy, czy podążę za nim, czy wyciągnę nutę jak trzeba. Liljana, tłumaczka Claudia Magrisa na języki Bałkanów i Miljenki Jergovicia na włoski, miesiącami gotowała mojemu synowi zupę z fasoli i kapusty kiszzonej, gdy szwendałam się za afgańskimi nomadami. Bałkany są wszędzie, w kuchni, języku, pieśniach. Cienie bałkańskiej wojny, tak samo cudzej i egzotycznej jak wojna w Afganistanie. A przecież niedaleko jest Aviano, skąd startują amerykańskie samoloty wojskowe, niedaleko jest Vicenza sto siedemdziesiątej trzeciej dywizji, gdzie amerykańscy chłopcy uprawiają jogging na Wzgórzach Beryjskich, a potem wracają z Afganistanu w metalowych trumnach owinięci we flagę. Tu jest województwo friulańskie, gdzie stacjonuje piechota włoskich górali. Zasnęli natychmiast, a obudzili się, gdy samolot lądował w Heracie. Wrócili w beztróskim zgiełku i opowiadali mi kawały. Blisko daleko. Oni tu, jak niegdyś Khan Ugadej pod murami Triestu, my tam, w pustyniach Chorasanu, z piórkiem wrony na hełmie.

(...)

Kapuściński pytał bez końca: „czemu człowiek prowadzi wojnę”? Herodot, jak i polski reporter podróżowali, by znaleźć odpowiedź. Cyganie wędrują, by uciec przed bałaganem dusz zbłąkanych w czas wojny, bo zmarli szkodzą żywym. Zaś Muhammadad Muzaffar wędruje i tyle. Jednego dnia w Duszsanbe, drugiego w Kabulu, Mahomet Podróżnik, już imię jest sztandarem.

- Jestem zawsze w drodze. Miło panią spotkać. Jestem jeden dzień tu, drugi tam. Czemu ciągle gdzieś jedziesz? - pytają mnie, daj sobie spokój. A ja przecież muszę samemu sprawdzić, czy są dobre miejsca po tamtej stronie. Afganistan, ewangeliczny pejzaż z osłem, Józef i Maria wciąż w drodze do Egiptu. Pasterze Kuczki wsuwają się w szpary czasu, zostawiając za sobą biały kwadrat zdeptanej ziemi, oraz groby. Zimny, gliniany piec w pustynnym płaskowyżu Pamiru, wokół którego Kirgizi pewnego dnia znów rozstawia białe jurty. Bogowie idą za nimi jak mewy za statkiem. Basho pisał, czyż droga nie jest naszym jedynym domem? Japońscy wędrowni poeci zredukowali słowa do trzech wersów haiku, by postrzec świat jednym mgnieniem oka, wzrokiem ważki. Myśli dopasowują się do kroku, uspokajają jak dzieci nomadów huśtane w jukach na osłach, nie sposób usłyszeć ich płacz w karawanie. Wszyscy prorocy, włącznie z Chrystusem, chodzili na piechotę. Ten ostatni dosiadł osła, lecz po to tylko, by na wierzchołcu godnym Bożego Syna wyruszyć do Miasta, na spotkanie śmierci. „Gryzły pchły i pluskwy/nocą słyszałem jak koń/szczał obok mojej poduszki”, to znów Basho, wierny kompan podróży.

Fragment książki Moniki Bułaj pt. „Nur”, która ukazała się w 2013 roku nakładem włoskiego wydawnictwa Electa.

Polskie wydanie tej książki jest właśnie przygotowywane do druku

2004
Maj

Kingsley's
Crossing

Autor Olivier Jobard



"Kingsley: J'ai 23 ans. J'ai 22 ans et j'ai une machine à écrire dans un hôtel sur la côte. J'ai un ordinateur. Je gagnais 30 mille CFA par mois, environ 50€. Mes relations avec mes amis sont très bonnes et mon travail est très bon. C'est tout."



"C'est une grande occasion à voir dans votre pays. Ici, il y a plus de travail et de travail. Il y a des très grandes entreprises et des petites entreprises. Ici, il y a un petit hôtel. Les relations sont très bonnes. C'est tout!"

Kingsley's Crossing

☀️ **Jeśli pochodzisz z biednej rodziny, zawsze zostajesz w biednej rodzinie - aż do śmierci**

Nazywam się Kingsley. Mam 23 lata. Pracowałem w Kamerunie jako ratownik od prawie trzech lat.

Naprawdę podobała mi się tamta praca. Ale wynagrodzenie było bardzo, bardzo zniechęcające. Jakies 50 euro. Tyle zarabiałem na miesiąc. Cała moja wypłata szła na jedzenie. Szpital, odzież, czynsz, opłaty za prąd i wodę. W moim kraju warunki życia są bardzo, bardzo trudne.

Mój ojciec ma na imię Klemens. Pracuje na plantacji. Mama kupuje świeże ryby i je wędzi. To nasz biznes, którym ona się zajmuje.

Mam siedmioro rodzeństwa: braci i siostry. Nie jest im lekko. Mają bardzo, bardzo trudne życie. Nie mogli mnie nawet wesprzeć w ukończeniu szkoły. Postanowiłem walczyć o lepsze życie, muszę przecież pomagać rodzicom. Zdecydowałem więc przedostać się do Europy. W moim kraju wszyscy próbują wysłać swoje dzieci do Europy, aby mogły pracować i pomagać rodzinie.

No więc miałem zamiar opuścić kraj, a nie miałem pieniędzy. Rodzice powiedzieli, że zobaczą, co mogą zrobić, aby mi pomóc. Postanowili dać mi pieniądze, bo mi ufają. Oni mnie kochają.

Kwota, którą mi dali... nie spodziewałem się aż tyle. Powiedzieli mi, abym nie zmieniał



swojego charakteru. Abym był szczery, gdziekolwiek będę. „Jesteś głową tej rodziny, nie zapomnij o swojej rodzinie” – mówili. Zawsze, gdy o tym myślę, wzruszam się. Zawsze. Byłem bardzo, bardzo, bardzo podekscytowany. Szczęśliwy, że jadę do Europy. I smutny, że opuszczam rodzinę, zostawiam przyjaciół, mój kraj. Nie wiedziałem, co mnie czeka.

Tam było bardzo, bardzo gorąco.

Nie jestem w stanie policzyć, ile razy mieliśmy problem z silnikiem.

Spotkałem się z kilkoma Ghańczykami. Poradzili mi, abym był bardzo, bardzo, bardzo ostrożny na pustyni. Ponieważ na pustyni są przestępcy i złodzieje. W tamtym czasie kierowcy także porzucali pasażerów na pustyni, więc miałem się po prostu modlić do mojego Boga, aby był mi życzliwy, ponieważ mnie też mogli porzucić. Nikt nie wie, co wydarzy się jutro.

Ludzie podchodzili coraz bliżej do samochodu. „Jedziesz do Maroka? Jedziesz do Algierii? Jedziesz do Libii?”. Wszyscy dawali jakieś rady, rady, rady.

Odkryłem, że w tym mieście niemal każda osoba mówi tylko o przekroczeniu pustyni w drodze do Europy. Spędziłem kilka dni w Agadeszu, poszukując zaufanej osoby. Odkryłem, że nie jestem już w moim kraju. I w jakiś sposób zniechęciłem się moją dalszą podróżą.

Bardzo się bałem, aby nie spaść z samochodu, bo siedziałem na jego krawędzi. I za mną byli mężczyźni, którzy się bili. „Złaz z mojej nogi! Moja noga, proszę, moja noga!”. Mamy jechać aż do około 11 lub 12. Kierowca musi się zatrzymać, bo pustynia - jest zbyt gorąco i silnik się bardzo zagrzał, więc musimy odpocząć.

Im dłużej jedziemy, tym bardziej cierpimy z powodu ciepła, słońca i kurzu.

Spotkałem faceta zwanego Farid, Algierczyk. Miał kilka pomysłów odnośnie do mojej podróży. Więc zaproponował, abym odwiedził jego dom rodzinny.

Powiedziałem: nie ma problemu.

Ta rodzina była dla mnie bardzo, bardzo miła. Fantastycznie było z nimi przebywać.

Nie mówili ani po francusku, ani po angielsku. Ja nie mówię po arabsku. Zaprośili mnie, abym popływał. Powiedziałem, że nie mogę iść, ponieważ nie byłem legalnie w ich kraju.

Oni wcześniej o tym nie wiedzieli.

Więc następnego dnia wcześniej rano musiałem wyjechać. Jeden z jego bratanków towarzyszył mi do granicy. Przed wyjazdem nie mogłem nawet pożegnać się z tymi dwoma młodymi aniołami.

Wreszcie złapałem kontakt z jednym z Senegalczyków, który zaproponował mi, abym przyszedł do jego getta.

Tam było tak wielu, wielu facetów. Powiedział mi, żebym poczekał na niego i pojedziemy do kogoś, kto przeprowi mnie przez ocean. Trzymał mnie tam w getcie, nie dzwonił do mnie, nic mi nie mówił. Spędziłem cały sierpień w tym getcie. Smutek, smutek, smutek. Nawet płakałem w nocy. Straciłem kontakt z rodziną. Umrę tutaj. Moja rodzina nawet nie będzie wiedzieć, gdzie umarłem. To był dla mnie nieszczęśliwy czas. Byłem zagubiony. Byłem bardzo zagubiony.

Wreszcie zadzwonił. Mówi mi: będziesz podróżować w przyszłym tygodniu, więc przyjdę do ciebie jutro.

Dojeżdżamy do Nadoru. Las. Żyje tam około 3000 osób – w grupach, w zależności od narodowości. Jest Kameruńczyk, Nigeryjczyk, Senegalczyk, Malijszyk.

Mówią nam, że będziemy mieszkać pod tymi kłującymi drzewami. Możemy wyjść na zewnątrz tylko wtedy, gdy jest ciemno. Dają nam wodę pitną, chleb i trochę sardynek.

Musimy kopać dziury pod tymi drzewami, aby stworzyć sobie miejsce do spania.

Mijają tak dwa tygodnie, ci goście przyjeżdżają. Mają ze sobą małą drewnianą łódkę z otworami, które były wszędzie.

Więc spuszczaemy tę łódkę na wodę. Kapitan usiłuje przebić się przez fale. Walczy i udaje



"Le 27 mai 2009, à 14h00 quand je suis dans le bus pour aller à la capitale, je suis avec deux personnes et il arrive pas à avancer ni à tourner. Je prends aux conseils de ces personnes, mais au moment de partir, ce n'est pas de problèmes. On a pas la famille."



"Une fois que j'ai été à Agadez, au Niger, j'ai voyagé avec la femme et un cousin. J'ai mis acheté un petit bateau pour un voyage de la chaux et du sable. Plus on renvoyait vers le Nord, vers le Liban et plus je souffrais de la chaleur."

mu się pokonać cztery pierwsze fale. Piąta wyrwca łódź. Łódź tonie. Postanawiam pomóc kilku facetom. Przyciągam jednego do brzegu. Chłopaki płaczą. Ludzie krzyczą. Straciliśmy dwie osoby! Jednego Kameruńczyka i jednego Senegalczyka. Oni są martwi, są martwi. Powinniśmy uciekać, bo funkcjonariusze mogą przybyć w każdej chwili. Dla nas to ryzykowne zostać tu i grzebać zmarłych. Następnego dnia mówią nam, że będą naprawiać tę samą łódź. Nic nie gwarantuje mi, że ta łódź może płynąć i pokonać Ocean Atlantycki. Wszyscy jesteśmy zniechęceni. Cztery osoby mówią, że wracają. Oni nie są gotowi na śmierć. Kapitan pomyślnie przechodzi fale. Ale woda jest już wszędzie. Szybko. Ludzie są coraz bardziej przerażeni. Krzyczą: „Hej, kapitanie, zawróć, zawróć, zawróć!”. Mówią nam, aby nikt się nie ruszał. Nasza łódź może się wywrócić, więc wywołują nas po kolei. Jesteśmy bardzo, bardzo szczęśliwi. Teraz moje życie jest bezpieczne. Oni towarzyszą nam przy wejściu. Mówią, że to Hiszpania. Ale nie tworzą problemów. Udało nam się.

Skontaktowałem się z moim jedynym przyjacielem. Dorastaliśmy razem. On ożenił się z Francuzką, mieszka we Francji. Więc zadzwoniłem do niego i powiedziałem, że jestem. Czekałem na dworcu na mojego przyjaciela. Przyjechał po mnie i gdy się spotkaliśmy, to była wielka radość. Krzyki, radość. To było coś cudownego. Później zawiózł mnie swoim samochodem do swojego domu. Poznałem jego żonę. Spędziliśmy cały nasz czas na rozmowie. Ten dzień był naprawdę ekscytujący. Przekraczanie oceanu, pustynia to jedyny sposób, aby się udało. I zrobiłem to. Kiedy dostałem papiery, byłem bardzo, bardzo szczęśliwy. Mogę powiedzieć, że tego dnia byłem najszczęśliwszą osobą na ziemi. Po przybyciu do Francji było bardzo, bardzo trudno. I myślałem nawet o powrocie do mojego kraju.

Pracuję przy maszynach w małej drukarni. Układam papiery, robię otwory w papierach. Moja pensja tutaj również nie jest dobra. Moja rodzina... wysyłam jej pieniądze. To jest to, co mogę zrobić. Całe moje życie tutaj to praca. W moim kraju miałem życie towarzyskie, mogłem odwiedzić rodzinę, odwiedzić przyjaciół, miałem czas na zabawę. Ostatnio nie mam dobrego czasu. Nic. Mam wciąż nadzieję, że będę tu mógł ukończyć moją edukację z zakresu elektryki. Żeby dostać lepszą pracę. Wszystko to determinacja. Wiem, że z czasem wszystko będzie OK. Fotoreporter Olivier Jobard: Czy chcesz powiedzieć coś jeszcze? Kingsley: Nie.

Teksty napisane w języku francuskim i zamieszczone pod fotografiami są integralną częścią fotoreportażu Oliviera Jobarda.

Olivier Jobard

francuski fotograf dokumentalista, od 1991 do 2011 roku pracował dla agencji fotograficznej Sipa Press, teraz reprezentowany jest przez agencję Myop. Fotografował wiele konfliktów na świecie: w Chorwacji, Bośni, Czeczenii, Afganistanie, Sudanie, Sierra Leone, Liberii, Wybrzeżu Kości Słoniowej, Kolumbii, Iraku... W 2004 roku spotkał Kingsleya w Kamerunie i udokumentował jego nielegalną podróż z Afryki do Francji. Została ona opublikowana w jego debiutanckiej książce pt. „Kingsley's Crossing”, wyd. Marval. Obecnie realizuje projekty długoterminowe o tematyce migracji.



"Tout était calme. J'étais avec Ahmed: le sol, les murs, les matras, l'eau... Grand je respirais, l'air me brûlait le nez et la bouche. Puis la prisonne fait depuis avec d'opale, je commençais à représenter un climat totalement différent de celui de mon pays."



"À l'arrivée, j'ai discuté avec mes compagnons. J'ai découvert que tous se dirigeaient à destination de l'Espagne, au Maroc. Il y a un vrai tunnel pour les passagers de ces bateaux, tout tout très simple. J'en ai tenu un pour ne faire traverser le Sahara."



"Après 7 jours d'attente, on nous a embarqués, 30 personnes, sur une zone. Les autres, 40 environ, à l'exception d'un 4x4, l'ont fait pour se faire, mais je craignais surtout les brigands. Un libanais m'a même demandé qu'il habitait les migrants pour les voler."



"Les hommes n'avaient pas de se battre pour garder leurs places. Ils restaient tous couchés à l'arrière du camion. Ils ne se sentent pas la chaleur. Malgré le fait que le sable tombe dans la bouche et les yeux, ils ne peuvent plus respirer."



"Quand le vent se lève, le nombre de personnes qui se cachent sous la feuille pour se protéger du vent augmente. J'ai vu certains des migrants avant de quitter le camion et les bagages et les sacs. C'est devenu pour moi. C'est pour eux pour manger."



"Comme le camion est en état de marche et qu'il y a des migrants, les libanais peuvent acheter un kilo de riz à 100, il est accordé avec eux les autres sur le côté de la route. L'un d'eux a dit dans le camion, tu es pour moi l'homme avec ça."



"De la colline on pouvait voir près de deux ou trois fois l'Espagne. Les immeubles
étaient là et ils étaient. L'air était fait de se réveiller en Espagne et de franchir les
barrières, de voir de haut, cela en fait avec les lumières. Mais les passants passaient chez."



"A Rabat, j'ai passé le week-end avec un "tribe" de camarades. Ils étaient
plus africains que attendent d'être à Malaga ou Tanger, en Espagne."



"Les hommes et les femmes se réveillent, j'ai passé en première nuit au refuge
des camarades, avec le sol. On se réveille pour retrouver les camarades et
avec eux, avec un petit chat et des chats à l'appeler."



"Les deux appartements à manger et à boire. Des fois, avec de l'argent, le week-end
de la nuit, ils ont le soir. C'est tout. Il y avait une petite télévision avec et blanc
qui nous faisait voyager, même si les programmes étaient en français arabe."



"Après plusieurs jours dans le dénué, ces personnes nous ont apporté le bonheur dans lequel nous étions embarqués. C'était une histoire en haut bruit, pleine de succès. Il fallait des heures au milieu pour faire deux tonnes de produits sur la coque."



"Après le naufrage, j'étais complètement épuisé. C'était le jour le plus triste que j'ai vécu depuis mon départ de Libreville. J'ai appelé ma famille et ils m'ont dit de venir. J'ai appelé que mon frère, un ami de mon frère. Ça m'a fait mal jusqu'au cœur."



"J'ai senti que j'ai reçu aussi cela que possible pour sortir de l'eau glorieuse, les autres étaient là et maintenant. Je suis maintenant dans une zone de sécurité et je ne peux pas aller à l'école. J'ai je me suis évanoui. Il m'ont dit de venir à l'appel."



"Après le naufrage, sur cette plage j'ai 30 hommes, seuls quatre, deux ont, ils ont écrit sur leur visage. Les autres ont dit qu'ils n'ont rien, leurs vêtements sont. Alors ils se sont fabriqués des sandales."



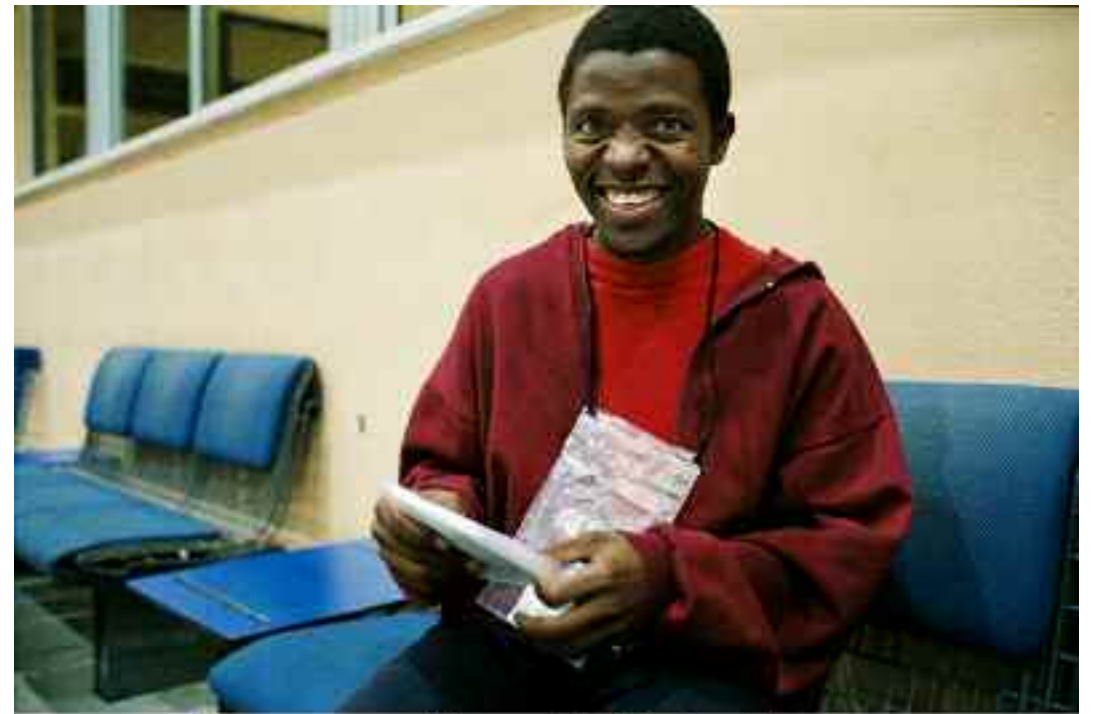
"Nous n'étions plus que six personnes pour la traversée. Heureux. Nous avions la même habitude avec le vent et les vagues. Nous n'avons jamais plus fait que la première fois. Les policiers nous surveillaient attentivement de leur canot."



"Les gardes étaient agrippés nous ont arrêté. L'arrivant, nous étions en colère. Il nous ont fait attendre sur leur canot. Il n'était pas gentil. Mais nous étions tous en vie."



"Malgré nos répétitions, le bateau partait. L'eau de mer était. Il fallait trop de personnes. Nous avions de l'eau jusqu'au cou."



"Après 35 jours passés en attendant à nos débouchés à Malaga, de nous pas dit que j'étais. Continuer les n'ont pas pu attendre. mon pays d'origine. Je suis dans l'attente, en possession d'un "titre de séjour" établi par les autorités espagnoles."



"C'est au premier nuit en Europe et je la passe debout au parking."



"Depuis son arrivée en France, son père a dû aller dans un autre camp pour travailler. Ma mère, elle, est restée pour ses affaires. Ma grande est à l'école. Et sa mère est au travail."



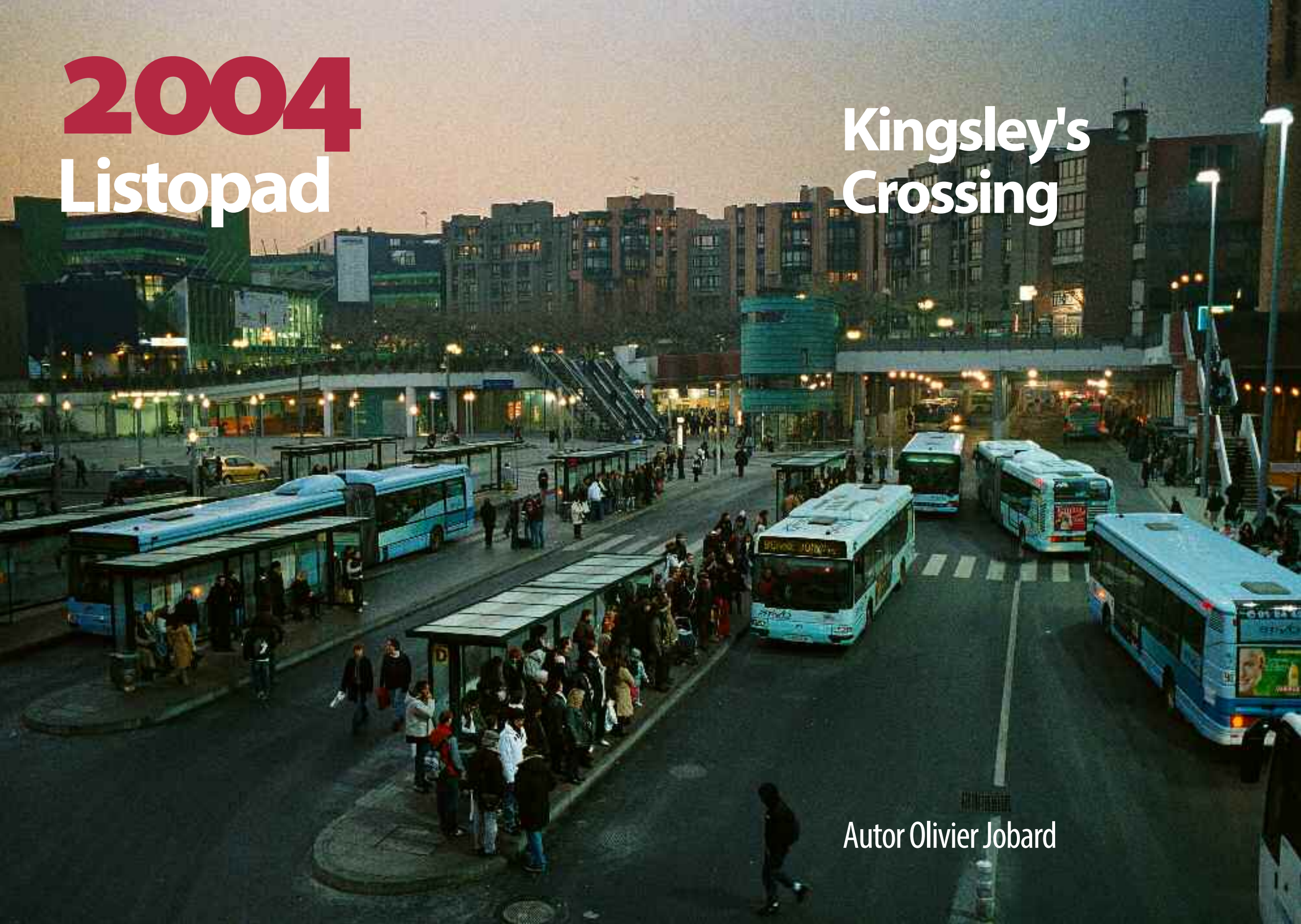
"C'est la joie de retrouver. Je pense alors que j'ai fait le plus dur et que j'ai réussi. En réalité, ça continue. Je suis un héros. En fait, je suis à l'école. Et ça fait mal. Je ne peux rien faire sans ma mère."



"Tout ça pour vivre en Europe. Le premier, ce n'est pas départ. Les autres, ça se fait après. Je ne sais pas être un héros. Jamais je ne retournerai à l'un de ces camps de réfugiés."

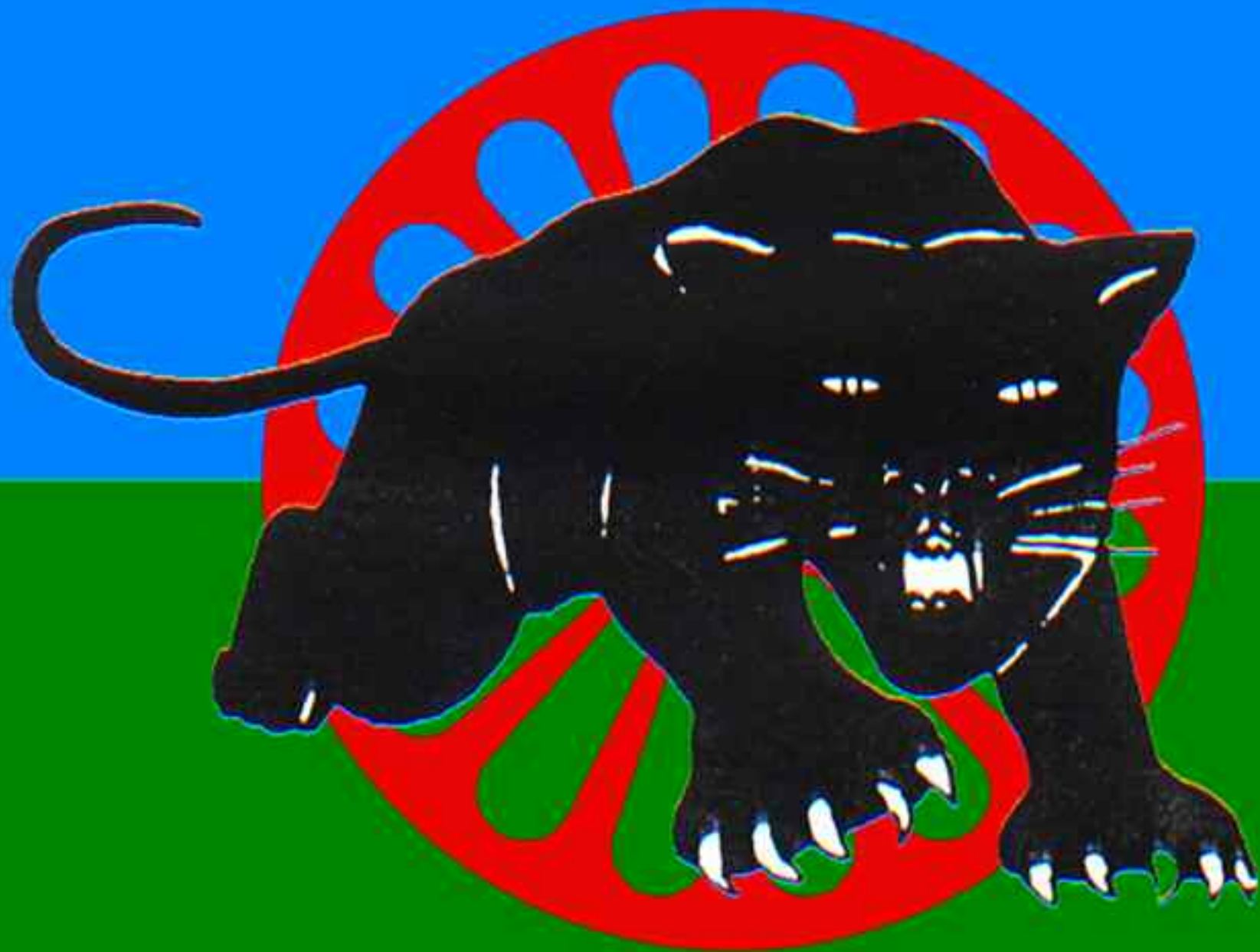
2004
Listopad

**Kingsley's
Crossing**



Autor Olivier Jobard

Tamara Moyzes



Tamara
Moyzes:
Logo Romów
Kale
Panthera,
technika
mieszana,
2014

Sztuka aktywna Tamary Moyzes

Jestem aktywna zarówno artystycznie, jak i politycznie – mówi Tamara Moyzes w rozmowie z Tímeą Junghaus

Tímea Junghaus: Wymyśliłaś *artivism* – styl w sztuce. Twoje nazwisko często pojawia się na międzynarodowych imprezach, wystawach, konferencjach i wykładach w kontekście aktywizmu i sztuki współczesnej. Jakie są twoje główne motywacje, co cię interesuje w polityce? Jakie są społeczno-polityczne i kulturowe konsekwencje twojej twórczości?

Tamara Moyzes: Nigdy nie robię niczego, co nie jest całkowicie i głęboko osobiste. Z tej bardzo osobistej perspektywy patrzę na ksenofobię, sytuację na Bliskim Wschodzie, na bycie izraelską kobietą czy Romką (mam również romskie korzenie) - to oznacza, że zawsze bronię swoich praw lub walczę o nie. Aktywizm i sztuka to całe moje życie. Wyemigrowałam do Izraela po skończeniu szkoły średniej w Republice Czeskiej. Zaczęłam studia w Izraelskiej Akademii Sztuk Pięknych na samym początku drugiej intifady – drugiego palestyńskiego powstania przeciwko izraelskiej okupacji. To wydarzenie miało na mnie ogromny wpływ. Stałam się świadomą żydowską propalestyńską działaczką i przez dwa lata prowadziłam aktywną działalność polityczną. I studiowałam. Zawsze byłam w takim samym stopniu działaczką, jak i artystką. Druga intifada całkowicie zmieniła moją pracę oraz mój stosunek do spraw publicznych i politycznych. Po powrocie do Czech od razu zaczęłam współdziałać z romskimi organizacjami pozarządowymi i kontynuowałam studia



Tamara Moyzes

urodziła się w 1975 roku – słowacka artystka wideo, żyje i pracuje w Pradze; absolwentka Akademii Sztuk Pięknych w Pradze, studiowała też w Jerozolimie, Tel Awiwie i Bratysławie. Jej prace nawiązują do współczesnych kwestii politycznych i społecznych m.in. do konfliktu izraelsko-palestyńskiego, rasizmu, kwestii gender i antycyganizmu. Autorka i kuratorka wielu wystaw i projektów m.in. *Artivism*, *Forbidden Art*, *Middle East Europe*. Rezydentka w Muzeum Historii Żydów Polskich w Warszawie, gdzie razem z mężem Shlomi Yaffe we wrześniu pracować będą nad nowym projektem i poprowadzą cykl warsztatów.

Fot. Archiwum rodzinne



Tamara Moyzes: Protest przeciw przemocy oraz aktywność proromska przed Muzeum Yad Vashem, 2009

w czeskiej Akademii Sztuk Pięknych. Jestem więc aktywna zarówno w sztuce, jak i w polityce. Łączę swoje umiejętności w gatunku, który rozwijam: *artivism*.

Kobieta żydowska w Europie otwarcie deklarująca propalestyńskie poglądy... Nie jest ci łatwo. A może się myłę?

- Pracuję z izraelskimi i palestyńskimi artystami jako kuratorka i moje doświadczenie jest takie, że świat sztuki na Bliskim Wschodzie jest prawie wyłącznie propalestyński. Trudno znaleźć prawicowego nacjonalistycznego izraelskiego artystę, który nie przyznaje racji Palestyńczykom. Na pewno jest to trudne - być propalestyńskim Żydem w Europie. Większość tutejszych Żydów nie mieszkała w Izraelu tak długo jak ja, nie doświadczyli więc życia i polityki Izraela, który obudził aktywizm i wrażliwość wobec praw Palestyńczyków. Ponieważ jestem często obecna w mediach, neonaziści próbują do mnie dotrzeć. Krytykują mnie islamofobi, antyislamskie Siły Obrony Czech okrzyknęły mnie jednostką podejrzaną, wielu ludzi w społeczności żydowskiej jest do mnie wrogo nastawionych, bo czują, że moje stanowisko jest skrajne i radykalne.

Aktywizm jest zatem twoją osobistą misją. Czy kierujesz się nim także w swoich kuratorskich pracach?

- Jestem na pewno bardziej artystką niż kuratorką. Jeśli obejmuję kuratelę, to dlatego, że ktoś musi w końcu przejąć inicjatywę; robię to, gdy czuję, że nikt inny nie wykona tej pracy. Jeśli chodzi o projekty kuratorskie, jestem również monumentalistką - kiedy mam pomysł na projekt, wystawę lub grafikę, zawsze gdzieś z boku jest monumentalna wizja społeczna. Dlatego zachęcam innych artystów, aktywistów i zwykłych ludzi, aby do mnie dołączyli. Na przykład wystawa „Bliski Wschód Europa” była moją największą

wystawą, projektem wędrującym, przedstawionym w pięciu krajach. Koncepcja została oparta na naturalnym konflikcie kulturowym. Do udziału w projekcie „Bliski Wschód Europa” zaproszeni zostali artyści pochodzenia izraelskiego, palestyńskiego i europejskiego, którzy w swoich pracach odzwierciedlali konflikt na Bliskim Wschodzie (koncepcja wystawy była taka, że nie mogły się na niej znaleźć prace zlecone).

Poruszyłaś kwestie tożsamości, które są tak istotne dla twoich prac. Które z aspektów tożsamości są według ciebie najważniejsze?

- Ksenofobia, neoantynacjonalizm, kwestie dotyczące Romów, Bliski Wschód. Podejmuję również walkę z homofobią. Jestem feministką. Wszystkie te kwestie są równie istotne. (*śmiech*)

Jest to często sprzeczne z bieżącą polityką i kierunkiem kulturowego dyskursu. Jak wprowadzasz swój aktywizm na poziom sztuki, na poziom wystawienniczy?

- Demonstruję to na przykład na mojej ostatniej wystawie w Haus of Arts w Brnie, gdzie miałam indywidualny pokaz w styczniu 2014 roku. W odniesieniu do przestrzeni wybrałam pracę, która skupiła uwagę dużych mediów w Republice Czeskiej. (Zdjęcia 1-5) Chciałam pokazać instalację, o której wszyscy w Czechach słyszeli z mediów - zawsze powtarzam, że działalność aktywizacyjna jest już w 50 proc. skuteczna, jeśli dostanie się do mediów. I pokazałam pracę, którą rozpoczęłam podczas eventu w dzielnicy Praga 7. Gmina Praga 7 zamierzała podpisać umowę z czeskim deweloperem na sprzedaż i wykorzystanie zielonej strefy w centrum handlowym; połowa tych terenów miała być przekształcona w Tesco. Ta zielen w Pradze 7 ma bardzo ważną, ukrytą historię: ponad 18 500 Żydów z Czech zostało deportowanych na ten obszar, gdzie oczekiwali na transport do obozów koncentracyjnych i obozów zagłady. Podczas mojego eventu przyprowadziłam tam pięć osób. Założyliśmy żółte gwiazdy Dawida na nasze płaszcze i po prostu staliśmy na tym polu, trzymając wielkie torby na zakupy. (Zdjęcia 6-8) Zorganizowaliśmy intensywną kampanię medialną i skupiliśmy różne NGO-sy, ruchy obywatelskie, a także organizacje osób ocalałych z Holocaustu w działaniu przeciwko budowie supermarketu w tym miejscu. W przestrzeni wystawienniczej przedstawiłam powiększenie 5 m x 3 m jednego ze zdjęć, w tle słychać było radiową relację z tego wydarzenia. Użyłam tych narzędzi w określonym celu. Aktywizm łączy się z wizualnością. Wizualność jest jego istotną częścią. Wpisuje się w działalność muzeów, galerii etc.

Dokumentowanie działań aktywistów nie staje się tak po prostu sztuką. Gdzie ty dostrzeżasz granicę pomiędzy aktywizmem a sztuką?

- Nie sądzę, że wydarzenia, w których biorę udział, to po prostu demonstracje. Najważniejszą rzeczą, jakiej się nauczyłam podczas drugiej intifady było to, że spontaniczne zwykłe spotkania, demonstracje i protesty nie przyciągają uwagi mediów. Planowane wydarzenia powinny być odpowiednio skomponowane. Używamy happeningów i rozwijamy nasze pomysły w szerszym kontekście. Jednak wracając do pytania: jest źle postawione. Dla mnie o wiele bardziej interesujące jest, aby znaleźć i mówić o podobieństwach sztuki i aktywizmu. Granice zawsze są nam dane. Na przykład od lat badam

Tímea Junghaus

- historyk sztuki i doktorantka w dziedzinie teorii kultury i sztuk audiowizualnych na Uniwersytecie Eötvös Loránd na Węgrzech. Kuratorka wielu wystaw - m.in. Romskiego Pawilonu na Biennale w Wenecji w 2007 roku; autorka i współredaktorka publikacji nt. sztuk wizualnych Romów europejskich - „Poznaj swoich sąsiadów - współczesna sztuka romska w Europie” (Open Society Institute 2006); dyrektor wykonawcza Fundacji Kulturalnej Romów Europejskich.

to, co sama nazywam *Art populi*. To zjawisko polega na tym, że zwykli ludzie korzystają z tych samych narzędzi - jak dźwięk, media itp. - z których korzystają artyści w czasie swoich wystąpień, eventów. Uważam to za wielce interesujące. (Obrazy 9-10) Kiedy zaprosiłam tych zwykłych ludzi na spotkanie z artystami, okazało się, że korzystamy z tych samych narzędzi (artystrycznych i komunikacyjnych) i chcemy takiej samej widoczności w mediach.

Które z tych wystaw i wydarzeń uważasz za najbardziej istotne w swojej twórczości?

- Dla mojego *artivismu* najważniejszym dziełem jest Pomnik Ofiar Holocaustu w Pradze 7. Kolejne - to wydarzenia w Muzeum Pamięci Yad Vashem poświęcone Zagładzie. Czeska delegacja z premierem i ministrem edukacji odwiedziła je w 2011 roku. Stworzyłam happening wraz z moją grupą 5 Columns. To jest grupa aktywistek działających na pograniczu aktywizmu i sztuki (grupa Artivistek). Czekaliśmy na czeskich delegatów rządowych przed pomnikiem. Ministerstwu edukacji przewodniczył Josef Dobeš. Jednym z jego pracowników był znany antysemita Ladislav Batora. Ludzie tacy jak on nie powinni być w naszym rządzie. Zorganizowałyśmy więc protest. (Zdjęcia 11-12) Chciałam pokazać, że taka osoba jest politykiem, oraz że nikt nie porusza tematu antyromskiej przemocy. Udało nam się, bo na miejscu było wiele mediów towarzyszących delegacji. Gdy nas zobaczyli, byli bardzo zainteresowani naszą inicjatywą. To był pierwszy raz, gdy sprawa dotycząca kwestii neonazistowskiej przemocy w Europie Środkowo-Wschodniej znalazła się w centrum uwagi w Izraelu. Jedna część miejsca pamięci jest teraz poświęcona historii Romów.

Organizowane przez ciebie akcje są bardzo starannie skomponowane. Sposób korzystania z ciała i prezentacji ciała kobiety wplatają twoją sztukę w feministyczne strategie artystyczne. Czy mam rację?

- To jest główne pytanie w aktywizmie, happeningu i performance, taki rodzaj działania może mieć charakter wizualny. I oczywiście zawsze, gdy tworzę nowy projekt, zaczynam od wizualności i zadaję sobie pytanie: jak to będzie wyglądać na zdjęciach. Wyobrażam sobie, jak ten projekt będzie wyglądał w mediach, jak mogą być tworzone nagłówki gazet. Myślę o tym, jak będą wyglądać zdjęcia. Czasami kontroluję, z którego miejsca i jak media mogą robić zdjęcia moich imprez. Wizualność należy budować w sposób specyficzny w odniesieniu do konkretnej pracy, w określonym kontekście. Kontekst, technologia, wizualność to trójca skutecznego aktywizmu.

Spędziłaś w Budapeszcie trzy miesiące jako rezydent artystyczny w Gallery8. Jakie są twoje doświadczenia?

- Mam kilku węgierskich przyjaciół artystów i mieszkam na tyle blisko, aby orientować się na bieżąco w sytuacji węgierskiej. Interesowałam się Węgrami przed rezydenturą. Częściowo dlatego, że jestem z nimi emocjonalnie związana - mam również węgierskie korzenie i spędziłam tu sporo czasu. Byłam zainteresowana głównie prawem, rozmawiałam z Różą el Hassan - węgiersko-syryjską artystką współczesną - i dowiedziałam się o prawie, które zakazuje zbierania rzeczy z węgierskich śmietników. Oznacza to, że zabronione jest również tworzenie sztuki śmietnikowej. To jest takie elitarnie: ktoś, kto

PRENATAL LUXURY BOX

police escort



poop gift



Safety window film
against Molotov cocktail



Fire extinguisher



Patrol officers for three months



FORGIVEN
MAY HAVE INTEREST
IN SUPPORTING
THESE CHILDREN
THIS DOES NOT
MAKE ME HAPPIER

threatening letters



wygląda na wyrafinowanego, może wziąć ze śmietnika, co zechce, ale bezdomni i ubodzy nie mogą. (Obraz 13) Kocham sztukę śmietnikową i byłam zdumiona dniami śmieci w Budapeszcie, kiedy ludzie mogą wystawiać przed domy używane meble, urządzenia elektroniczne oraz odzież. Znalazłam fajne rzeczy i je pozabierałam (*śmiech*) - myślę, że nielegalnie. Później Gallery8 zaproponowała mi wystawienie mojej sztuki śmieciowej na wystawie otwartej 8 kwietnia 2014 roku.

Dokąd teraz zmierzasz, jakie są twoje plany na nadchodzące miesiące w 2014 roku?

- Teraz przygotowuję się do wystawy, której kuratorem jest Astrid Kury z grupy Roma Kale Panthera, którą stworzyłam. (Zdjęcie 14) Grupa będzie zajmować się sprawą wydarzenia, które niedawno miało miejsce w Czechach. Młoda Romka urodziła czworaczki i stała się kimś w rodzaju celebrytki obecnej w mediach i świadomości społecznej. Zaczęła dostawać upominki od producentów akcesoriów dla dzieci, w tym np. wózki dziecięce. Sytuacja ta spowodowała, że ona i jej dzieci stały się ofiarą ostrej i gwałtownej kampanii antyromskiej. To dla mnie bardzo bolesne, bo zwykle, gdy kobieta urodzi, ludzie są wzruszeni i radośni. Ponadto wydaje się, że w tym przypadku społeczeństwo zareagowało agresją, ponieważ te dzieci są Romami. Nie było łatwo zareagować na tę falę dyskryminacji. Dziś, gdy przemoc neonazistowska jest tak wysoka, czujemy się sparaliżowani, obawiamy się, że jeśli będziemy protestować, to wywołamy jeszcze większą przemoc lub nienawiść. Spędziliśmy sześć miesięcy na myśleniu, jak wspólnie zająć się tym tematem. Nasza praca przedstawi luksusowe pudło prenatalne, na którym ukazane będzie, jak wiele więcej dostaje biała czeska rodzina od dużej rodziny romskiej. Oglądaliśmy media i zbieraliśmy informacje; (Zdjęcia 15-16) okazało się: że od gminy i miasta czworaczki dostały specjalną folię do okien przeciwko koktajlom Mołotowa (otrzymują kilka listów z pogróżkami), przydzielono im też ochronę policyjną na trzy miesiące. Wystawa została otwarta 4 maja 2014 roku w Strasburgu. W czerwcu i w lipcu była też w Niemczech oraz w Austrii.

Opuszczasz Węgry – jak widzisz przyszłość Europy Środkowo-Wschodniej?

- Myślę bardzo pesymistycznie o przyszłości. W naszych krajach ludzie milczą i tolerują przemoc i nienawiść. Wciąż pokładam wielką nadzieję w młodych pokoleniach, działaczach przyszłości.

Tímea Junghaus

Tamara Moyzes:
Prenatal Present-Bag:
Sprawa romskich
czworaczków
w Czechach,
Mixed Media, 2014



Tamara Moyzes:
Roma Holocaust Memorial,
zdjęcia instalacji
w Brnie House of Arts 2014,
technika mieszana



Tamara Moyzes:
Roma Holocaust Memorial,
zdjęcia interwencji
działaczki w Pradze,
dzielnica 7, 2013





Paul Yarrow

- amerikański działacz
na rzecz akceptacji tłuszczu
(w tle od lewej nowej
kotwicy),
Viki Knafo - izraelska
matka, aktywistka
społeczna



Zawsze dziś

☀ Wystawa „Tajsa. Wczoraj i jutro brzmi tak samo” wędruje po Tarnowie niczym cygański tabor. Ulotna, a pełno jej w mieście. Bliska romskiej „strategii na dziś”, dzieje się w jedynym możliwym czasie - terażniejszości

Beata Ryń

W pierwszy dzień maja po urokliwym Parku Strzeleckim w Tarnowie snują się grupki spacerowiczów. Opadają już kwiaty liliowej magnolii, platan jest jeszcze golusienki, a tulipanowiec zbiera siły, aby za chwilę zakwitnąć. Jednak te barwne, egzotyczne drzewa przegrywają konkurencję ze starą, niemal uschniętą, wysoką na kilka metrów akacją. - Spójrz, Kaziu, żeby tak z jednego drzewa wyrosło tyle gatunków! - zachwycają się dwie starsze panie.

Rzeczywiście, we wgłębieniu pnia akacji zagnieżdżyły się przypominające dziewczęce koczki i zielone rozgwiazdy oplątwy, inne, wiotkie i długie zwisają bezwładnie z jednej z gałęzi. Przypadkowi obserwatorzy zmyleni różnorodnością ich kształtów i odcieni uznają, że rośliny nie mogą wywodzić się z jednego gatunku. Są przecież od siebie tak różne, tak zupełnie inne. Łączy je tylko to, że nie zapuszczają korzeni. Osiadają po prostu gdzieś, prowizorycznie czepiają się nowego miejsca specjalnymi chwytnikami i... egzystują. Potrzeba im tylko wody z nieba, powietrza i światła. Żyją z innymi organizmami, lecz na nich nie pasożytują.

Koleżanka Kaziu niepewnie podchodzi do drzewa i sprawdza, czy rośliny na pniu akacji są prawdziwe. Szczypie listki i z niedowierzaniem kręci głowę. Za chwilę dowie się całej prawdy, stanie się to za sprawą sprawczyni pojawienia się oplątów na akacji. Utalentowana artystka wizualna Karolina Freino wbija w pobliżu drzewa tabliczkę informacyjną z napisem: „Śpera. Instalacja organiczna powstała w ramach projektu »Tajsa«”.

Wczoraj, jutro... dziś

Tajsa w kilku dialektach języka romani oznacza zarówno wczoraj, jak i jutro. Jego przeciwieństwem jest słowo *dadyves*, które oznacza dziś. - To proste zestawienie dwóch słów używanych przez Romów pozwoliło nam postawić pytanie o romski świat rozgrywający się w wiecznie trwającej terażniejszości. Wobec braku wczoraj i perspektywy jutra. Wiecznie trwająca terażniejszość, w której realizuje się historia i tożsamość Romów, jest głów-



Warsztaty „Dizajn nomadyczny - mikroprzestrzeń” prowadzili Stachu Szumski i Katarzyna Roj.

Fot. Jola Więclaw

Neon Tajsa autorstwa Mariana Misiaka.

Fot. Justyna Fedec



nym tematem wystawy – wyjaśniają Katarzyna Roj i Joanna Synowiec - kuratorki niezwyklej wystawy prezentowanej od 20 marca do 25 maja 2014 roku w tarnowskim Biurze Wystaw Artystycznych. To projekt żywy, będący w nieustającym ruchu, który dzieje się tu i teraz.

Tu, czyli w klimatycznym Parku Strzeleckim, w którym efekty mikrorezydencji artystycznej zaprezentowała Karolina Freino. Inspiracją do stworzenia instalacji organicznej na akacji były „Dwa Pentakle” - karta tarota wielokrotnie losowana przez artystkę z talii tarnowskiej romskiej wróżki, która miała przepowiedzieć pracę twórczyni realizowaną w ramach projektu „Tajsa”. Przedstawia ona roślinę bez korzeni, która układając się w znak nieskończoności, otula dwie monety. Oznacza elastyczność, szybką adaptację, potrzebę nowych wyzwań, podążanie z prądem, umiejętność wykorzystywania okoliczności dla własnych celów. Artystka nazwała swoją pracę „Śpera” - to w sekretnym systemie komunikacji instalowany na drzewach znak służący porozumiewaniu się oddalonych taborów Cyganów.

Tu to jednak przede wszystkim klimatycznie zaaranżowane przez Knock-outdesign pomieszczenie w budynku BWA znajdującym się w Parku Strzeleckim. W niedużej sali odbywają się działania performatywne, wykłady, badania, pokazy filmowe, warsztaty dla dzieci i dorosłych. Podłoga wyściełana skrawkami wzorzystych dywanów, tak charakterystyczna dla romskiej estetyki, zachęca, by na niej usiąść i tworzyć. Niektóre dywany częściowo zwinięto. - Te rulony symbolicznie nawiązują do historycznych i obecnych aktów prawnych, których konsekwencją często jest podważenie prawa do zatrzymywania się na chwilę Romów-wędrowców czy zamieszkiwania Ro-

mów-migrantów – mówi Joanna Synowiec.

Wzdłuż ścian pomieszczenia w domowej aranżacji prezentowane są ekspozycje stworzone w ramach projektu. Podmuchy powietrza poruszają zamontowane na ścianie setki papierowych, różnokolorowych wiatraczków układających się w słowo Tajsa. - Nie prezentujemy prac w tradycyjnej odsłonie obiektów artystycznych, lecz tworzymy warunki i możliwości dla zaistnienia działań o charakterze artystycznym i poznawczym – wyjaśnia Katarzyna Roj.

Część przestrzeni wystawienniczej zajmuje ekspozycja oprawionych w ozdobne ramki zdjęć. Ich autorami są dzieci romskie, które wzięły udział w warsztatach fotograficznych „Ukryte”. - „Tajsa” to wystawa o terażniejszości, a jej najwygodniejszym zapisem jest fotografia. Zadaniem dzieci było udokumentowanie swojego powrotu do domu, lub otoczenia. Pokazanie codzienności – wyjaśnia Katarzyna Roj. Na warsztatach dzieci nauczyły się, że fotografowanie rzeczy, postaci czy krajobrazów odbiegające od szeroko lansowanego stereotypu piękna niesie wielokrotnie większą wartość artystyczną. - Magiczne jest to, że dzieci zechciały wziąć aparaty ze sobą do domów i przyniosły nam stamtąd bardzo interesujące fotografie. Utrwalone kadry z ich codzienności świadczą o tym, że z uwagą słuchały wykładów o kompozycji zdjęcia – dodaje Katarzyna Roj. Wykłady prowadziła kadra tarnowskiego BWA w składzie: Magdalena Burdzyńska, malarka i graficzka, studentka Wydziału Malarstwa Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, Katarzyna Górowska, historyczka sztuki, Jolanta Więclaw, artystka i specjalistka do spraw reklamy.

Przeciw „nieszczęśliwemu zatrzymaniu”

W 50. rocznicę ostatecznego zakazu wędrowania i koczowania Romów w Polsce w ramach projektu „Tajsa” zaprezentowano tarnowianom mural stworzony przez Stacha Szumskiego (przy ulicy Narutowicza 42). Dzieło młodego artysty jest opowieścią o nostalgii za cygańskim życiem, wędrowną. Uwiecznione na nim wizerunki: koni, wozu, ognisk, podkowy układają się w opowieść o Cyganach-wędrowcach. - W projekcie silnie nawiązujemy do wydarzeń z 1964 roku. Efektem tamtego „nieszczęśliwego zatrzymania”, przeprowadzonego w ramach prawa obowiązującego wszystkich obywateli PRL-u, było przymusowe osiedlenie grup wędrujących, ich asymilacja i „produktywizacja” - mówi Joanna Synowiec. Dodaje jednak, że przesłaniem projektu jest „teraźniejszość”, dlatego tamten miniony czas musi nawiązywać do trwającego obecnie.

- Transformacja ustrojowa krajów Europy Wschodniej przyniosła kolejne zawirowania w życiu społeczności romskich. Obecnie stali się oni migrantami ekonomicznymi. Ale dziś to doświadczenie nie jest zastrzeżone tylko dla Romów, dotyczy globalnego prekariatu. Rozwiązania prowizoryczne w organizacji życia codziennego, przemieszczanie się, korzystanie z materiałów wtórnych, poszukiwanie idealnego miejsca dla siebie – to wszystko stało się rzeczywistością wielu obywateli świata. Życie z dnia na dzień, tu i teraz, jest często koniecznością, choć czasami także – życiową filozofią. Dla Romów to zjawisko jest bardziej akceptowalne i łatwiejsze do realizacji, gdyż zawsze byli i nadal są wspólnotą. Prekariusz w poszukiwaniu stabilnego jutra jest zawsze sam – mówi Joanna Synowiec. Katarzyna Roj ze smutkiem dodaje, że w poszukiwaniu swojego miejsca na świecie Tarnów opuścił także Adam



Neon Tajsa.



Performans „Uczta”.

Fot. Justyna Fedec

Beata Ryń

dziennikarka, pracowała w „Gazecie Wyborczej”, dzienniku „Słowo - gazeta codzienna”.

Dziś jest kierownikiem działu promocji w Muzeum Wsi Kieleckiej.

Andrasz, wieloletni prezes Stowarzyszenia Romów w Tarnowie oraz wielki orędownik poprawy losu polskich Romów.

Co godzina sielską majówkę w Parku Strzeleckim przerywa silny głos Marzeny Siwak, charyzmatycznej przedstawicielki społeczności romskiej w Tarnowie. Jej głośny protest przeciwko ustawom z lat 50. rozbrzmiewa za sprawą instalacji dźwiękowej wykonanej przez Pawła Kulczyńskiego we współpracy z Pawłem Szroniakiem. Wypowiedź kobiety, oprawiona współczesną, niemal hiphopową muzyką, jest jej komentarzem do krzywdzących polskich Romów aktów prawnych. Przy narodzinach około czterominutowej kompozycji wraz z Marzeną Siwak pracowali artyści Katarzyna i Zbigniew Szumscy znani z Teatru Cinema.

Tożsamość – bezkresna niedokończona rozmowa

Na wzorzystych dywanach, obok rozdeptanych wielkich trzewików, siedzi boso szczupła kobieta, ubrana w barwną spódnicę i bluzkę, w chustce na głowie. To Delaine Le Bas, wybitna brytyjska artystka pochodzenia romskiego. Temat jej prezentacji to „Jivipen Ta Divvus” – „Żyjąc dniem dzisiejszym”. Delaine wyszywa fartuch romski, wzorując się na ilustracji z książki Jerzego Ficowskiego „Cyganie w Polsce. Historia i zwyczaje”. Przy przygaszonym świetle i szumie powietrza napędzającego dziesiątki papierowych wiatraczków Katarzyna Roj rozpoczyna spotkanie z artystką. Informuje, że performans z udziałem Delaine powinien stać się inspiracją do zadawania pytań. - Cała jej praca polega na prowadzeniu dialogu – podkreśla. Na krótkich filmach prezentowanych podczas pokazu artystki oglądamy zatrzymane kadry z jej marszruty. Widzimy wędrujące stopy i postać odpoczywającej Romki. Wsłuchujemy się także w nagrania brytyjskich Romów posługujących się różnymi dialektami. - Ludzie porozumiewają się bez względu na ich pochodzenie kulturowe czy narodowe, bez względu na czas i miejsce – mówi Delaine. Podkreśla, że wszystko ewoluuje. - Kultura i język nie są stałe, absorbują, przekształcają się, nabierają nowej wartości – dodaje artystka. Twierdzi, że właśnie dlatego warto nauczyć się postrzegać to, co pozornie oczywiste, tylko i wyłącznie z własnej perspektywy szukać indywidualnych dróg. Według niej warto nieustannie kwestionować to, kim jesteśmy, wyłamywać się z narzuconych struktur, wciąż myśleć i wymyślać siebie na nowo. Delaine mówi o sprzeciwie wobec establishmentu, który narzuca większości swój punkt widzenia. - Nie jesteśmy określani na stałe, jak więc na stałe można określić naszą tożsamość? - pyta Delaine. - Tożsamość to przecież bezkresna niedokończona rozmowa.

Czas na rozmowę był m.in. 24 maja. To wtedy na finał projektu „Tajsa” w Parku Strzeleckim zaplanowano „Ucztę romską” - performans Moniki Koniecznej i Eweliny Ciszewskiej. Przy zastawionych stołach spotkają się przedstawiciele romskiej i polskiej społeczności. Będzie czas na dialog, na wspólne odnajdywanie siebie.

Jednym z elementów projektu „Tajsa. Wczoraj i jutro brzmi tak samo” jest blog relacjonujący wydarzenia odbywające się w ramach wystawy: <http://tajsa-archiwum.weebly.com/>). Warto go odwiedzić, poznać wszystkie działania, które złożyły się na tę wyjątkową ekspozycję. Pracę inspirującą do poznawania, której motto brzmi: *Powiemy o czymś, czego nigdy nie będziemy mogli zobaczyć.*

Beata Ryń

Great Artistry of Django Reinhardt (1953, 2010) Django Reinhardt



Django Reinhardt, właśc. Jean Reinhardt, to urodzony w Belgii francuski gitarzysta i kompozytor romskiego pochodzenia. Uważany jest za jednego z najwybitniejszych gitarzystów wszech czasów oraz jednego z ważniejszych muzyków jazzowych. W wyniku poparzenia stracił władzę w trzecim i czwartym palcu lewej ręki. Od tego czasu artysta używał tylko palca wskazującego i środkowego, wymyślając zupełnie nowy styl techniki jazzowej gry na gitarze, zwanym 'hot' jazz guitar. Ta praktyka wykonawcza stała się żywą tradycją muzyczną we francuskiej kulturze cygańskiej. Wspólnie ze skrzypkiem Stéphane'em Grappellim stworzył Quintette du Hot Club de France. Najpopularniejsze kompozycje Reinhardta stały się jazzowymi standardami. Płyta została nagrana dwa miesiące przed jego śmiercią w 1953 roku.

Tony Gatlif – muzyka z filmu „Swing” (2002)



Tony Gatlif - reżyser filmowy, scenarzysta, epizodyczny aktor i kompozytor. Naprawdę nazywa się Michel Dohmani i jest w części potomkiem algijskich Romów. W jego filmach muzyka pełni rolę dodatkowego aktora. W filmie „Swing” 10-letni bohater, Max, spędza wakacje u babci we Francji. W barze słyszy grającego na gitarze romskiego muzyka Miralda (w jego rolę wcielił się wybitny przedstawiciel cygańskiego jazzu Tchavolo Schmitt). Zaprzyjaźnia się z cygańską dziewczyną o imieniu Swing, która wprowadza go w świat romskiej kultury, tradycji i muzyki.

Tony Gatlif i Delphine Mantoulet – muzyka z filmu „TranSylvania” (2006)



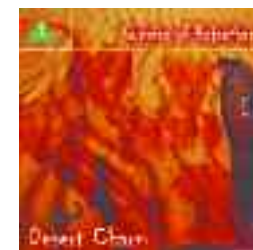
To kolejny film Tony'ego Gatlifa, w którym głównym bohaterom na każdym kroku towarzyszy piękna tradycyjna muzyka. Oprócz zespołów cygańskich w filmie pojawiają się obrazy z klubów muzycznych i z domów wiejskich, gdzie stare kobiety grają na tradycyjnych instrumentach ludowych. Muzyka jest bogato zaaranżowana, istnieje niezależnie od filmu.

The Gypsy Music Of Turkey (2001) Erko se Ensemble - Tzigane



Wspaniała tradycyjna muzyka tureckich Romów. Od najprostszych melodii ludowych po szerokie orkiestrowe instrumentacje. Muzyka przesycona improwizacjami, zwana taksim, granymi na *kanun* (cytrze), *ud* (lutni) czy klarncie. Utwory, w których mocno czuć ducha zarówno muzyki klezmerskiej, jak i egipskiej. Muzyka przemawia językiem tureckich sufich, a jednocześnie słyhać w niej ducha podróżujących całe życie Romów.

Gypsies of Rajasthan (2002)



Muzyka Romów mieszkających w indyjskim Radżastanie. Śpiewy mistyczne, energetyczna perkusja, strunowe instrumenty pustyni, flety przenoszą nas do źródeł magicznej muzyki romskiej.

Tzigane: A Treasury of Gypsy-Inspired Music (2005) Anthony Goldstone



Utwory wybitnych kompozytorów muzyki klasycznej, między innymi Johannes Brahmsa, Ferruccio Busoniego, Ernsta von Dohnányiego, George Enescu, Manuela de Falla inspirowane muzyką romską, zaaranżowane na fortepian przez wybitnego pianistę Anthony'ego Goldstone'a.

Maria Pomianowska

Nienawiść zakłada toge

☀ Zaroilo się w Europie Środkowo-Wschodniej od samozwańczych strażników narodu ☀ Strzegą, pilnują, patrolują

Wojciech Maziarski

„Pilnuj Polski!” - wzywa prawicowy portal wPolityce.pl. Sprawa musi być poważna, bo nie raz wzywa i nie dwa razy. Ciągłe wzywa. To tytuł stałej rubryki, w której redaktorzy demaskują zagrożenia ze strony złych. Obcych. Zaprzańców. Wrogów narodu.

A kto oni, ci obcy? Już my wiemy i oni też wiedzą. Po imieniu lepiej głośno ich nie nazywać, żeby się nie narazić na oskarżenia i procesy. Wprawdzie dobrze wiemy, że chodzi o Żydów, pedałów, Cyganów i innych takich, ale jeśli postawimy sprawę zbyt jasno, może nas spotkać los Beaty Kempy. Pamiętacie? Wystąpiła w telewizyjnym spocie pod wielkim napisem „Nie dla homo” i z miejsca trafiła do sądu. Choć dodajmy od razu, że wygrała – sąd orzekł, że zgodnie z prawem można by ją oskarżyć, gdyby nakłamała. A tego nie można jej zarzucić, bo „Nie dla homo” to tylko wyraz poglądów. To sformułowanie „nie podaje faktów lub danych, które mogłyby podlegać weryfikacji z punktu widzenia ich prawdziwości”. Tak orzekł sąd i umył ręce.

Strażnicy polskości ograniczają się na ogół do aktywności medialnej. W sieci pilnują Polski, na papierze pilnują, a na ulicach rzadziej się pojawiają. Ewentualnie raz do roku można ich zobaczyć w trakcie Marszu Niepodległości.

Nie to, co na Węgrzech. Tam umundurowanych strażników węgierskości można podziwiać w pełnej krasie na ulicach prowincjonalnych miasteczek i wsi, szczególnie tych, gdzie mieszkają Romowie. Strażników węgierskości łatwo rozpoznać po charakterystycznej tężyznie fizycznej, często ogolonej czaszce (wąs jest dopuszczalny), ciężkich buciorach, czarnych spodniach bojówkach i kamizelkach z naszym godłem węgierskich królów. Strażnicy węgierskości wzrok mają surowy, łapy jak bochny i chodzą grupami w szyku



Członkowie nacjonalistycznej Gwardii Narodowej w Budapeszcie podczas ceremonii zaprzysiężenia, marzec 2012.

Fot. Attila Volgyi/Polaris/East News

marszowym. Raz, dwa, lewa...

Strażnicy węgierskości w sierpniu 2007 roku założyli organizację Węgierska Gwardia (Magyar Gárda), której celem była „fizyczna i duchowa samoobrona narodu węgierskiego”. Przed kim mianowicie? Przed złymi. Obcymi. Zaprzańcami i wrogami.

Gdyby dla kogoś nie było to dość jasne, zacytujmy jednego z polityków węgierskiej prawicy, Gergő Samu Tamása, który rzecz doprecyzował i jednoznacznie wskazał, o kogo chodzi. Nazwał mianowicie liderów społeczności romskiej na Węgrzech – Orbána Kolompára, Aladára Horvátha i europosłankę Viktorię Mohácsi – mianem „przestępców i złodziei”, których Węgierska Gwardia powinna usunąć przy użyciu broni.

Do użycia broni wprawdzie nie doszło, ale w nocy 3 czerwca 2008 roku nieznanymi sprawcami rzucono koktajle Mołotowa na domy trzech romskich rodzin w miejscowości Patka. Policja zatrzymała trzech podejrzanych. Ich węgierscy sąsiedzi uznali jednak, że nie wolno zatrzymywać prawdziwych patriotów, więc stanęli w ich obronie, a ściślej mówiąc – ruszyli na osiedle Romów. Ci zaś postanowili się bronić i z widłami w rękach zagrodzili drogę napastnikom. Ostatecznie napięcie udało się rozładować, lecz po tych wydarzeniach węgierska większość mieszkańców wezwała do Patki Gwardię, która umundurowana, w szyku marszowym, wkroczyła do wioski. Raz, dwa, lewa...

Nie do tej jednej wioski. Ogoleni na łyso wąsaci obrońcy narodu węgierskiego uwielbiają robić wrażenie, maszerując w czarnych mundurach i buciorach całymi kolumnami przez romskie wioski lub „patrolując” je w kilkuosobowych grupach.

Po licznych ekscesach w 2009 roku węgierski sąd zdelegalizował Gwardię Narodową, ale na jej gruzach powstało wiele podobnych organizacji. Jedną z nich jest Zjednoczenie na rzecz Piękniejszej Przyszłości (SzJE), które w minionych latach i miesiącach wzięło na swe barki brzemię odpowiedzialności i schedę po Gwardii. Patrole i kolumny Zjednoczenia wielokrotnie wkraczały do wiosek i osiedli zamieszkałych przez Romów, budząc popłoch i przerażenie.

W 2011 roku prokuratura uznała, że dość już tego, i skierowała do sądu wnioski o delegalizację także tej organizacji. Sprawa wlecze się w kolejnych instancjach do dzisiaj, a Attila László, herszt ugrupowania – używający tytułu „przewodniczący” - sprawia wrażenie pewnego siebie. Na początku tego roku wydał komunikat, w którym poinformował naród:

„Nasza organizacja pożytku publicznego prowadzi coraz aktywniejszą działalność i cieszy się szerokim poparciem społecznym. Nasi członkowie, przestrzegając obowiązującego prawa, pracują na rzecz umocnienia narodu i w minionych latach oddali w ręce policji licznych sprawców przestępstw. Reprezentujemy zastraszonego obywateli węgierskich, pomagamy im w urzeczywistnieniu ich praw, organizujemy akcje charytatywne i stoimy u boku bezbronych jako ich ostatnia nadzieja”.

W marcu ostatnia nadzieja stanęła jednak nie u boku bezbronych, lecz u boku adwokata przed sądem w mieście Gyula we wschodnich Węgrzech, niedaleko rumuńskiej granicy. Rozprawę w procesie o delegalizację Zjednoczenia prowadziła sędzia Erika Mucsi, o której istnieniu nikt wcześniej nie słyszał. Dziś nazwisko tej przedstawicielki węgierskiej Temidy jest powszechnie znane, zarówno opinii publicznej, jak i instytucjom zajmującym się dyscyplinarną odpowiedzialnością sędziów. Być może z tej znajomości wynikną dla pani Eriki Mucsi bardzo niemiłe i bolesne konsekwencje. Oby. Ale nie wyprzedzajmy wydarzeń. Na razie jesteśmy w marcu i przyglądamy się posiedzeniu sądu w sprawie z pozwu prokuratury, która argumentowała, że publiczne przemarsze zorganizowanych, umundurowanych grup wzbudzają strach, a zastraszanie obywateli jest nielegalne. Poza tym utrzymywanie porządku publicznego jest domeną państwa i nikomu nie wolno w te kompetencje wkraczać.

Rozprawa zrazu nie wzbudziła wielkiej sensacji. Do mediów przedostała się jedynie informacja, że sąd w osobie Eriki Mucsi wnioski o delegalizację odrzucił.

Sąd orzekł, że jedynie w nielicznych, wyjątkowych przypadkach można obywatelom zabronić „spacerowania w miejscach publicznych” - i przemarsze przez osiedla cygańskie do tych wyjątków nie należą. „Umundurowani członkowie grupy maszerowali w kolumnie, zbierali się na komendę i patrolowali ulice osiedla, dzieląc się na mniejsze zespoły” - potwierdził sąd, dodając: „Choć takie zachowanie ze swej natury może budzić lęk mieszkańców, to jednak wolność zgromadzeń gwarantuje obywatelom prawo do kroczenia, publicznego defilowania”.

Wojciech Maziarski

od 1990 do 1991 był korespondentem polskiej sekcji BBC, następnie do 2001 pracował w „Gazecie Wyborczej”, gdzie specjalizował się w reportażu społecznym i problematyce krajów sąsiednich. Był również dziennikarzem „Przekroju”. Od 2001 do 2012 związany z tygodnikiem „Newsweek Polska”, gdzie najpierw był szefem działu społecznego, a później działu publicystyki. Od 2007 zajmował stanowisko zastępcy redaktora naczelnego, a następnie od 2009 do 2012 redaktora naczelnego. Został publicystą „Gazety Wyborczej” i prowadzącym program „Kalkulator polityczny” w Polsat News.



Erika Mucsi
Fot. Archiwum Dialog-Pheniben

Gdyby Erika Mucsi na tych stwierdzeniach poprzestała, być może do dziś cieszyłaby się anonimowością i nikt by jej nie uznawał za ucieleśnienie rasizmu w służbie państwa. Być może prowadzony przez nią proces byłby tylko przykładem prawniczej bezdusznosci i błędnego rozumienia wolności zgromadzeń.

Z bliżej jednak nieznanymi powodami sędzia Mucsi uznała, że koniecznie musi dać wyraz swoim przekonaniom ideologicznym, więc zawarła je w uzasadnieniu wyroku odmawiającego delegalizacji Zjednoczenia na rzecz Piękniejszej Przyszłości. Skandal wybuchł z kilkutygodniowym opóźnieniem, bo uzasadnienie zostało opublikowane dopiero pod koniec kwietnia.

Zdumiona opinia publiczna Węgier i świata, przecierając oczy, okulary i szkła kontaktowe, z niedowierzaniem wczytywała się w kolejne akapity tekstu, w którym pani sędzia pisała takie rzeczy:

„Wyróżnikiem »Cyganów« jako kategorii nie jest przede wszystkim podstawa rasowa. Niezależnie od przynależności rasowej ten termin odnosi się do grupy reprezentującej charakterystyczny styl życia, izolującej się od reszty mieszkańców, nieuznającej tradycyjnych i chronionych przez prawo wartości większości społeczeństwa. Członkowie tej grupy są wyznawcami światopoglądu nakazującego unikać pracy i lekceważyć własność prywatną oraz zasady współżycia społecznego”.

Erika Mucsi wyjaśniła także narodowi, jak należy rozumieć termin „cygańska przestępczość”: „Nie można pominąć milczeniem stosunkowo wysokiego odsetka osób pochodzenia cygańskiego wśród ludzi popełniających przestępstwa. Wynika stąd, że choć kategorie Cyganów i przestępców nie są tożsame, to jednak ich znaczące przenikanie się daje podstawę do użycia terminu »przestępczość cygańska«”.

- **Sąd** powszechny Rzeczypospolitej Polskiej właśnie usankcjonował ordynarną homofobię! - skomentował z oburzeniem polityk Twojego Ruchu Andrzej Rozenek, gdy dowiedział się o tym, że polska sędzia umyła ręce i odmówiła osądzenia dyskryminującego spotu Beaty Kempy. Ciekawe, co by powiedział, gdyby usłyszał argumentację Eriki Mucsi? Stanowisko przedstawicielki polskiej Temidy w zestawieniu z uzasadnieniem sformułowanym przez jej węgierską koleżankę to niewinna dziecięca igraszka. Kaszka z mleczkiem.

Tego samego zdania są na szczęście także liczni prawnicy i sędziowie w ojczyźnie Eriki Mucsi. Przewodniczący Węgierskiego Związku Sędziów skierował jej sprawę do sędziowskiej komisji etyki, choć – jak sam przyznaje – rzecz nie jest prosta. Nie ma bowiem jasności, czy komisja jest władna oceniać sformułowania zawarte w wyrokach i uzasadnieniach wyroków. Takiego precedensu jeszcze nie było, do tej pory komisja zajmowała się jedynie nagannymi zachowaniami sędziów w różnych sytuacjach.

Pozostaje mieć nadzieję, że węgierska komisja nie będzie miała dylematu i rozstrzygnie wątpliwości w taki sposób, by można było wysłać jednoznaczny komunikat do opinii publicznej: nie pozwolimy, by samozwańczy strażnicy narodu, nienawidzący obcych i głoszący nienawiść, zamienili czarne mundury, spodnie bojówki i ciężkie buciora na sędziowskie togi. Owszem, można im pozwolić się przebrać, ale tylko w więzienne dreluchy.

Wojciech Maziarski

Wojciech Śmieja

W filmie Samiego Mustafy „Never back home” jest taka scena: cygańska rodzina krząta się wokół obiadu, za oknem kamerzysta, jego pomocnik i prezenterka z mikrofonem w ręku, a wokół nich małe zamieszanie.

Co tam się dzieje? – pyta głos z offu.

Nic, znowu dziennikarze przyjechali – odpowiada cygańska mama znad garów.

Cyganka się nie dziwi, a być może jest nawet lekko zirytowana, bo Plematina została już opisana i sfilmowana w dziesiątkach reportaży i przewinęły się przez nią tabuny żurnalistów, reporterów i sprawozdawców.

Początek mojego tekstu mogę pożyczyć sobie od jednego z nich, czeskiego dziennikarza, romo-
znawcy i fotografa Lukáša Houdka:

Usiądźcie w wygodnym fotelu, wyciągnijcie ręce na jego skórzanych podłokietnikach, zamknijcie oczy i wyobraźcie sobie: na skutek wojny, która nie jest waszą wojną, tracicie domy. Dodajcie do tego utratę najbliższych i fakt, że teraz mieszkacie w ciasnocie, która w niczym nie przypomina miejsca, w którym dotychczas mieszkaliście. Niektórzy z was mogą sobie jeszcze wyobrazić, że zostali deportowani z któregoś z krajów zachodniej Europy, co jest jedynym efektem waszych starań o rozpoczęcie tam życia na nowo. Wyobraźcie sobie jeszcze sześć wielkich kominów nieprzerwanie dymiących tłustym ciemnobrązowym dymem pełnym trujących substancji, które sprawiają, że umrzecie zaraz po przekroczeniu pięćdziesiątki. Witamy w Plematinie!

Wieża Gazimestan¹ pozwala ogarnąć wzrokiem całe Kosowo Pole – równinę otoczoną pasmami niewysokich gór. Dawnego pola słynnej bitwy nie porastają już czerwone maki (czerwone, bo z serbskiej krwi, jak nasze maki z Monte Cassino). Krajobraz dominuje widok zalbanizowanych miast, szczególnie Prisztiny i bliższego Obiliq. Ale z Gazimestanu i tak lepiej jeszcze niż miasta widać skalę industrializacji terenu. Dwie elektrownie, „Kosowo A”



Wieś Plematina, sierpień 2005.

Fot. Visar Kryeziu/AP/East News

i „Kosowo B”, oddalone od siebie o kilka kilometrów, pompują nieprzerwanie dym w gorące kosowskie powietrze. Elektrownie są przestarzałe, jedna powstała w latach sześćdziesiątych, druga na początku osiemdziesiątych. W oddali widać też hałdy (elektrownie są węglowe), popielate usypiska pełne żaru, który wprawia nadmuchane dymem powietrze w drgania i płąsy sprawiające, że dalszy krajobraz rozmywa się na kształt pustynnych fatamorgan. To właśnie tam, między „Kosowem B” z jednej i podstawą hałdy z drugiej strony leży Plematina. Nenad twierdzi, że poziom skażenia powietrza, gleby i wody jest tu drugi najwyższy w Europie. Gdzie jest gorzej, nie potrafi sprecyzować. Podobno wypielęgowanym Europejkom, które przyjeżdżają w ramach różnych misji do Kosowa, lekarze odradzają zachodzenie w ciążę na przestrzeni roku po powrocie. Nenad Andrić jest Serbem, ma 23 lata, studiuje stosunki międzynarodowe na amerykańskim uniwersytecie w Prisztinie. Jest wysoki, przystojny, mówi nieskazitelnym angielskim i świat mógłby należeć do niego, ale on nie kwapi się, żeby wyjechać ze swojej Plematiny. Pytany o raka płuc, który tu na osłep atakuje ludzi w stosunkowo młodym wieku, mówi: *Nie dbam o to i uwiarygodniająco zapala papierosa. Nie dba też o to, że jego wieś, niegdyś głównie serbska, słynie w Kosowie i poza jego granicami z tego, że stworzono w niej swego rodzaju cygańskie*

leprozorium. Niespecjalnie przejmuję się też tym, że serbsko-cygańska Plematina leży na odległość strzału od słynnej Doliny Drenicy, matczynika UCK i w 1999 roku była już ostrzelana przez jej bojowników.

Jestem najmłodszy w rodzinie, chcę po studiach wrócić do domu. Muszę zaopiekować się rodzicami, którzy tu mieszkają. Taka jest tradycja i nie będę jej zmieniał.

Sami Mustafa jest bodajże o trzy, może cztery lata starszy od Nenada. Sami jest Romem. Cyganem. I wyrwał się z Plematiny w wielki świat, choć początkowo wcale tego nie planował. Mieszka w pachnącym Paryżu, ma pachnącą francuską dziewczynę, a pachnące międzynarodowe towarzystwo z Cannes ma okazję oglądać jego filmy i z uwagą słucha tego, co ten dwudziestosiedmiolatek ma do powiedzenia jako reżyser i jako pomysłodawca jedyne w swoim rodzaju przedsięwzięcia, jakim jest Romawood – cygańska wytwórnia filmowa.

Kariera Samiego rozpoczęła się w cuchnącej Plematinie, kiedy australijski filmowiec-dokumentalista Kieran D’Arcy przyjechał na zaproszenie organizacji Balkan Sunflowers realizować warsztaty filmowe dla młodzieży. D’Arcy kręcił swój film z 14 nastolatkami z Plematiny, ale tylko Sami potraktował to śmiertelnie poważnie i – bez ukończenia żadnej szkoły filmowej – został człowiekiem filmu.

W Plematinie wciąż mieszka rodzina Samiego, jego bra-

cia i kuzyni, z których jeden, nastoletni Denis, zaczyna odnosić pierwsze filmowe sukcesy (jego etiuda „Toxic Fun” została nagrodzona na buda-peszteńskim festiwalu filmów romskich). Nenad często spotyka się z nimi w świetlicy Bałkańskich Słoneczników.



Cyganie pojawili się na terenie dzisiejszego Kosowa prawdopodobnie w XIV wieku, a więc wtedy, kiedy w ogóle po raz pierwszy pojawiają się na Bałkanach i w Europie. Pierwsze dokumenty potwierdzające ich obecność pochodzą z piętnastowiecznego Prizrenu, gdzie zajmują się kowalstwem. Późniejsze dokumenty poświadczają, że sprawni kowale, ludwisarze, rusznikarze (i dziś grupa *Kovači* należy do najliczniejszych) osiedlają się w pobliżu górniczych osad takich jak Novo Brdo i przyjmują – w zależności od otoczenia – religię chrześcijańską lub islam. Zbieracze folkloru udowadniają, że w oralnej tradycji kosowscy Cyganie mówią o dziewięciu braciach-kowalach, od których się wywodzą i którzy na tereny Kosowa przybyli z Turcji, osiedlając się w dziewięciu różnych miastach. W Imperium Otomańskim Cyganie, szczególnie ci osiadli, nie są traktowani z jakąś wyjątkową surowością. Można nawet śmiało powiedzieć, że ich sytuacja jest lepsza niż w krajach europejskich, które od XVI wieku wprowadzają antycygańskie prawodawstwo. W Imperium mają prawo osiedlać się w obrębie miast, a nawet (wieki XVII i XVIII) cieszą się z przywilejów podatkowych.

O kosowskich Romach dokumenty OBWE, EULEX-u czy UNMIK-u mówią politycznie przezroczystym akronimem RAE, który oznacza trzy podstawowe grupy: Romów właściwych, którzy na ogół mówią po serbsku i zachowują najbardziej tradycyjny sposób życia; Ashkali, którzy mówią po albańsku i wyznają islam, tworząc grupę najbardziej zasymilowaną z albańską większością; Egipcjan, których świadomość odrębności od pozostałych grup eskaluje po wojnie z 1999, choć jej udokumentowane pierwociny sięgają XIX wieku. Ashkali i Egipcjanie zaprzeczają utożsamieniu ich przez *gadziów* z Romami – Cyganami.

W wielkim uproszczeniu można powiedzieć, że Romowie żyją na obszarze całego Kosowa, Egipcjanie głównie w Metohii (zachód), a Ashkali na wschodzie kraju.

Cyganie stanowią w XIX i na początku XX stulecia

nieodłączny element kosowskiego pejzażu, oczywisty jak słońce i deszcz. Kują, handlują, wodzą niedźwiedzie, przepowiadają przyszłość z dłoni. Pierwsze problemy pojawiają się w latach trzydziestych ubiegłego stulecia, kiedy ci spośród nich, którzy mówią po albańsku, doświadczają represji wymierzonych w albańskich mieszkańców Kosowa. Nawet jednak podczas II wojny światowej skala prześladowań, szczególnie w porównaniu z ustaszowskimi prześladowaniami Cyganów w Chorwacji i Bośni, pozostaje niewielka.

Romowie kosowscy po wojnie, szczególnie w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, mają możliwość rozwijania swojej tożsamości i kultury. Rozgłośnie radiowe w Prisztinie i Prizrenie nadają audycje w języku romani, w telewizji prisztinńskiej również ukazuje się periodyczna audycja dla nich przeznaczona. Język romani jest przedmiotem szkolnym, pojawiają się w nim książki i czasopisma. W epoce Slobodana Miloševića ten trend jest podtrzymywany. Cygan jest dobry, żeby podważać albańskie pretensje względem Kosowa i pokazywać na wewnętrznym i zewnętrznym użytek wielokulturowość tego regionu. Nie bez znaczenia jest też fakt, że większość Romów mówi po serbsku. Według ostatniego jugosłowiańskiego spisu powszechnego z 1991 r. w Kosowie żyło 43 tysiące Romów.²

Ukoronowaniem tego procesu waloryzacji jest obecność Luana Koki jako reprezentanta Romów podczas rozmów w Rambouillet. Trudno orzec, na ile następował tu proces politycznego upodmiotowienia Romów, na ile zaś byli oni – szczególnie w latach dziewięćdziesiątych – pionkiem na szachownicy wielkoserbskich zamierzeń Slobodana Miloševića, za co przychodzi im zapłacić pod koniec tamtej dekady i na początku nowego stulecia ogromną cenę. O istnieniu Ashkali wiedzieli do czasów wojny w Kosowie jedynie badacze zajmujący się tematyką mniejszości romskich. Dla nich Ashkali należy utożsamić z albańskojęzycznymi Romami, lecz sami Ashkali, którzy w zależności od okoliczności ciężą bardziej ku tożsamości romskiej lub albańskiej, tłumaczą swoją odrębność, przywołując legendy o irańskich przodkach, którzy pojawili się na Bałkanach w IV stuleciu, a więc jeszcze przed kolonizacją słowiańską, nie mówiąc już o przybyciu Cyganów. Rdzenni mieszkańcy *Illyricum* mieli dać im język (albański), a oni im religię, choć ta religia (chodzi wszak o islam) pojawia się dopiero trzy stulecia po domniemanym osiedleniu się Ashkali na Bałkanach!

Nazwa Ashkali wywodzi się z albańskiego słowa określającego „węgiel drzewny” (*eshkë*) i jako taka odsyła do kowalstwa, którym Ashkali mieli się trudnić i dla którego węgiel pozyskiwany przy wykorzystaniu tajemniczej technologii z drewna był niezbędnym surowcem.

Romowie traktują Ashkalich jako Cyganów, którzy zaprzeczają swojej tożsamości, Egipcjanie uważają ich za nieuświadomionych narodowo Egipcjan. Ashkali, jako grupa o najmniej określonej tożsamości, nie byli nigdy wydzielani w spisach powszechnych, ani też nie doczekali się politycznej reprezentacji (pojawiała się ona dopiero niedawno pod egidą europejskich instytucji kontrolujących Kosowo).

Trzecia grupa, bałkańscy Egipcjanie, na dowód swej odrębności cytuje stare raguskie kroniki i rejestry, które Cyganów opatrują nazwą *Egyptiorum*, co zresztą nie powinno dziwić, bo Cyganie o egzotycznej urodzie kojarzyli się średniowiecznym i renesansowym Europejczykom ze znanym z Biblii narodem egipskim, stąd powszechne ich w tamtych czasach określenie jako *populus Pharaonis*.

Egipcjanie bałkańscy uparcie twierdzą w przekazywanych ustnie historiach, że pochodzą z Egiptu. Podobnie swą przeszłość nad Nilem lokują jedynie Cyganie hiszpańscy, Gitanos. Ślady tej wiary przeniknęły do języków europejskich, hiszpańskie *gitano*, angielskie *gypsy* czy francuskie *gitan* ma w swoim rdzeniu wyrazowym zamknięty ów mityczny Egipt³. Współczesna nauka obala ten mit, wskazując choćby tożsamość kultury, tradycji, zwyczajów romskich i „egipskich”, choć oczywiście istnieją teorie wyjaśniające tę egipską identyfikację Gitanos i bałkańskich Egipcjan. Jedna z nich głosi, że „Egipcjanie” opuścili Indie wraz z armiami Aleksandra Wielkiego i wraz z nimi udali się do Egiptu. A w dziewiątym stuleciu n.e. (co robili przez 1300 lat?) przybyli wraz z Arabami na Bałkany, na których postanowili pozostać na długo przed przybyciem „Cygano w właściwych”. Egipcjanie mówią językiem kosowskiej większości, po albańsku. Podstawowe ich zajęcia to kowalstwo, handel i rolnictwo – nie ma wśród nich cygańskiego nomadyzmu, natomiast datujący się od lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia aktywizm polityczny, mający za cel odseparowanie ich od romskości, sprawił, że w ostatnim jugosłowiańskim spisie narodowym z 1991 roku, pojawiła się narodowa kategoria „Egipcjanin”. Unia Bałkańskich Egipcjan jest organizacją jednoczącą tę nację. Jej siedziba mieści się w macedońskim Ohrydzie.

Kiedy w latach dziewięćdziesiątych w Kosowie rodzi się albańskie podziemne państwo z jego równoległymi do serbskich instytucjami, Romowie, Egipcjanie i Ashkali znajdują się w kleszczach pomiędzy obiema stronami konfliktu. Albańczycy postrzegają Romów, szczególnie serbskojęzycznych, jako serbską piątą kolumnę, ale nawet Ashkali czy Egipcjanie, w zasadzie zintegrowani ze społecznością albańską stają się podejrzani, jakkolwiek z drugiej strony zdarzają się przypadki Ashkali walczących w szeregach Wyzwoleńczej Armii Kosowa.

Kiedy w 1999 roku Serbowie wycofują się z Kosowa, Albańczycy pod pozorem politycznych rozrachunków wypędzają swoich romskich sąsiadów z miast i wsi całego Kosowa, zajmują ich domy, zrównują z ziemią (Kosowska Mitrowica) całe cygańskie mahale. Wielu RAE staje się – to kolejny uroczko biurokratyczny akronim – IDP: *internally displaced persons*, uchodźcami wewnętrznymi. Wielu też ucieka z Kosowa na stałe, do Serbii, a jeśli się da – to dalej, na Zachód.

Romowie, Ashkali i Egipcjanie stali się wówczas problemem dla wspólnoty międzynarodowej i UNHCR. Dla cygańskich uchodźców wewnętrznym, których nikt w Kosowie nie chce i o których nikt się nie upomina, buduje się obozy. Lokuje się je w miejscach najbardziej skażonych. Obozy takie jak Cesmin Lug, Zitkovac, Leposavic i Kablar znajdują się na terenach, gdzie obecność ołowiu przekracza przyjęte normy o 4 do 7 razy. Znany dyplomata z Prisztiny mówi o tym jasno: *Jedziesz do cygańskiego Czarnobyla w Kosowie*. Jeden z obozów, bodajże największy, powstaje w 1999 r. w Plematinie. Kiedy powstaje, wierzy się, wszyscy wierzą, że to rozwiązanie tymczasowe. Obóz, w którym mieszka ok. 700 osób ze wszystkich trzech grup, jednak istnieje 6 lat, ale nawet i dziś w dawnych barakach mieszkają ludzie.



Plematina jest serbską enklawą na północny zachód od Prisztiny. Między wsią a stolicą odległość jest niewielka – zaledwie 11 kilometrów, ale trafienie tu następuje pewnych kłopotów. Brak połączenia autobusowego, a dojazd samochodem też nieco skomplikowany. Nie dość, że droga prowadzi niemal przez tereny elektrowni „Kosowo B”, to jeszcze – jak zawsze w przypadku serbskich enklaw – brak jakichkolwiek drogowskazów prowadzących do wsi. Rozpoznaj ją dzięki dwóm blokom socjalnym, w których ulokowano w 2005 Romów z obozu.

Z Nenadem jestem umówiony w siedzibie Balkan Sunflowers w centrum wsi.

Budynek dość łatwo rozpoznać – jako jedyny w Plematinie chce wyglądać ładnie i kolorowo. Fasadę świetlicy ozdobiły swoimi rysunkami dzieci. Ale te radosne kolory i malunki w postindustrialnym inferno Plematiny bardziej smućą, niż przynoszą radość. Nenad z Balkan Sunflowers współpracuje od kilku lat i dziś właściwie jest gospodarzem budynku. Pomieszczenie na piętrze, gdzie nas prowadzi, jest dość obszerne, przytulnie wyłożone dywanami i kolorowe. Łączy w sobie funkcje biura, salonu i świetlicy. Przy komputerach serfuje kilku romskich nastolatków, kilka innych osób rozmawia, siedząc na mocno wysiedzianych sofach.

Nenad ma swoją teorię wyjaśniającą dlaczego obóz dla, pozwolę sobie użyć tych dwu higienicznych akronimów, IDP RAE ulokowano w tym miejscu. Po pierwsze, środowisko jest na tyle zatrute, że nawet najmłodszy IDP RAE długo nie pożyją, po drugie, we wsi już mieszkają Romowie, więc łatwo doładować kolejnych, po trzecie wreszcie – wieś jest głównie serbska, więc z kłopotem będą się borykać Serbowie, a Albańczycy będą mieć problem z głowy – do serbskich enklaw raczej nie zaglądną.

Do czasów wojny z 1999 Plematina była jedna, ale dzieliła się na Dolną i Górną. W Górnej mieszkaliśmy my – Serbowie, Dolna była romska. Wszyscy, Cyganie i Serbowie, pracowali w elektrowni. Sto procent ludności było w ten czy inny sposób związane z „Kosowem B”. Toksyczna relacja, jak w małżeństwie, rozumiesz? Truje, ale żywi. Żywi, ale truje. Może przez to we wsi nie było animozji. Odkąd pamiętam, my – dzieci serbskie-bawiliśmy się razem z dziećmi romskimi, bo nasi ojcowie pracowali wspólnie. Tam, na końcu wsi, bliżej hałdy, mieszkali Albańczycy. Z nimi też się bawiliśmy. Bo wieś, jest, o czym się zapomina, nie tylko serbsko-romska, ale też trochę albańska.

Nie, we wsi nie było konfliktu serbsko-albańskiego, ale w 1998 r. domy Albańczyków zostały spalone przez serbskich czetników. Nie, nie wiem, skąd oni byli. Po wojnie albańska mahala została odbudowana. Dzisiaj domy albańskie są ładniejsze, większe i nowsze niż serbskie. Plematina może się poszczycić tym, że we wsi – oczywiście poza obozem – nie ma żadnych ruchów ludnościowych. Na miejscu zostaliśmy my, zostali Albańczycy, zostali Romowie. Tylko jedna nowa rodzina z Albanii tu się przeprowadziła, ale to ze względu na gjakmarrje, w którą się tam u siebie wplątałi. Nenad zaprasza na spacer po swojej wsi. Mam go

okazję obserwować w jego środowisku. Chłopaka znają wszyscy, młodzi i starzy, Romowie i Serbowie. Z każdym potrafi zamienić parę zdań, zapytać o zdrowie. Chyba wszyscy go lubią, choć po wojnie zaangażowanie Serba w sprawy cygańskie wydaje się niektórym podejrzane.

Obok siedziby Balkan Sunflowers mieści się serbski urząd gminy. W enklawach panuje dwuwładza – czasem ma to swoje plusy i ludzie pobierają na przykład podwójne zasiłki i inne świadczenia pomocy społecznej, kiedy indziej jednak rodzi się problem. Pękniętą rurą wodociągową nie chcą zająć się władze kosowskie, bo wieś jest serbska, serbscy urzędnicy tłumaczą się, że mają związane ręce – rura należy do kosowskich wodociągów.

Ulica prowadzi między Dolną a Górną Plematiną. *Dziś te nazwy już nie funkcjonują. Teraz mówimy o serbskiej mahali i cygańskiej mahali. W nowych czasach mamy nowy język. Uwagę zwracają rosnące przy ulicy topole. Niższe gałęzie pozostają zielone, góra jest martwa i sucha. Proszę cię bardzo, tak to u nas wygląda. Drzewa zdychają od góry. Co roku tych zielonych gałęzi jest mniej. Kiedy budowali elektrownię, zamontowali tu jakieś ruskie filtry. Radziecka technologia – od zawsze nature-friendly. Ha, ha! Dzisiaj nawet one nie działają. Podobno trzeba je jakoś obsługiwać, włączać, wyłączać. Nikomu się nie chce, a może nawet po prostu nikt nie umie, więc nawet one nie działają. Po wojnie wymienili ekipę elektrowni – dziś nikt z Plematiny w niej nie pracuje. Nowy personel był dość przypadkowy. Wydajność „Kosowa B” spadła do jakichś 50 procent. Dzisiaj jest tak, że część ludzi pracuje w Serbii i do domu przyjeżdża co dwa tygodnie, co miesiąc albo rzadziej. Większość jest bezrobotna i żyje z różnych zasiłków, z pracy na czarno.*

Domy serbskie są trochę bardziej zadbane niż romskie, obojścia bardziej wypielegnowane, a w ogródkach rosną obowiązkowo śliwy. Napędzona jesienią rakija pozwoli w lepszej kondycji przetrwać zimę z jej wiszącymi nad Plematiną ołowianymi chmurami i wiatrem, który może sobie wreszcie na tej równinie pohulać.

Idziemy obok cmentarza, daty na nagrobkach potwierdzają informacje o rakotwórczych właściwościach plematińskiego powietrza. Uwieczniona w kamieniu średnia wieku tutaj to pięćdziesiąt lat z groszami.

Sitnica to największa rzeka Kosowa. Dziewięćdziesięciokilometrowa struga płynie przez Kosowe Pole, żeby wpaść do Ibaru na wysokości Kosowskiej Mit-

rowicy. Jej pełne szuwarów meandry tworzą południową granicę Plematiny. To o tej pełnej fenolu, śmieci, ścieków rzece, Denis Mustafa nakręcił swój pierwszy film „Toxic Fun”. Dla Isy, ojca pięciorga dzieci, Sitnica jest jedyną rozrywką. Bohater filmu mieszka w plematińskich barakach, gdzie prąd dawno odcięto. Dzieciaki nie mają radia, komputera, telewizji. Isa odpala swój motorower, do ramy przywiązuje wędkę, na bak sadza najmłodszego syna (pozostali przybiegną) i jadą nad rzekę. Isa łowi ryby, które wciąż desperacko pływają w rzece. Być może dostosowały się do życia w fenolowym środowisku, którym przeniknęły ich ciała. Isa narzeka jednak, że z roku na rok tych ryb jest coraz mniej. Dzieciaki w tym czasie kąpią się w jednym z rozlewisk. Woda jest gęsta jak śląski żur, a brzeg okraszony gnijącymi i tłącymi się śmieciami. Pod wieczór Isa pakuje swoje dwie złowione rybki, wędkę i syna. Wracają do domu. Fenolowe rybki będą na kolację.

Sitnica cuchnie – tego film Denisa nie pokazał, ale ja mogę to teraz poczuć podczas spaceru z Nenadem. Wokół tli się wysypisko śmieci, których żadne służby komunalne nie wywożą. Z wody wystają fragmenty oparcia jakiejś starej kanapy, którą ktoś tu wrzucił – podobałoby się to moim dzieciom. Opowiedziałbym im bajkę o podwodnym królestwie Neptuna i jego służkach-nimfach. Na podmokłym śmieciowisku pasą się czyjeś owce, pasterz odpoczywa w cieniu ruin jakiejś przepompowni.

Kiedyś okolica musiała być ładna – na rzece był małowniczy mostek, po drugiej stronie rzeki zielone wzgórza. Krajobrazu nie psuła wówczas gigantyczna hałda i niezmordowanie pulsujące dymem kominy elektrowni. Pewnie w takie miejsca chłopcy ze wsi przyprawiali dziewczyny, żeby odbierać im cnoty, a one w zamian obdarzały ich potomstwem.

Na wzgórzach, a właściwie za nimi znajduje się Dolina Drenicy. W 1999 baliśmy się albańskiej ofensywy stamtąd. Strzelali do nas. Wtedy wojsko wysadziło most, tam – Nenad pokazuje ręką – wciąż możesz zobaczyć ruiny. Armia jugosłowska wysłała sześćczołgów do obrony wsi. Oni strzelali do nas z broni lekkiej. Czołgi odpowiadały, strzelając w ich stronę. Ale chyba na postrach. Oni nie widzieli, gdzie strzelają, czołgiści też strzelali chyba bardziej z uprzejmości, żeby odpowiedzieć, niż żeby trafić. Ale w sumie to nie były i nie są żarty. Moja rodzina ma kawałek pola po drugiej stronie rzeki. To nasza ziemia, ale od wojny jej nie obrabiamy. Strach. Albańczyk ją obrabia. Może to i dobrze – uśmiecha się Nenad – pole nie zdziczeje, nie

zarośnie chwastami, a może jeszcze przyjdzie czas, że wróci do nas? Był nawet pomysł, żeby odbudować most, ale nam na tym nie zależało. I tak nikt by na drugą stronę nie przechodził.

Bloki socjalne i dawny obóz leżą w pewnym oddaleniu od wsi, bliżej elektrowni. Na pustym polu między wsią a blokami powstał nowy biały meczet. Kto chce do cerkwi – znajdzie ją pięknie odnowioną za pieniądze podarowane przez Novaka Djokovicia w środku wsi.

Z daleka oba bloki wyglądają nawet przyzwoicie. Wystawiono je w 2005 roku. Sami Mustafa w swoim „Never Back Home” uwiecznił moment otwarcia bloku dla mieszkańców. Kamera towarzyszy dzieciom, które wbiegają na aseptycznie czystą klatkę schodową. Szaleństwo dzieciarni słychać na wszystkich piętrach. Dzieciak nie może ustać w miejscu – skacze jak małpka i operator kamery łapie zadyszkę, goniąc go na to szóste piętro, gdzie jego rodzina dostała mieszkanie. Kamera wchodzi do niego, dzieciak wszystko pokazuje, rozległy widok z okna i lśniąca czystością łazienkę. W ostatnich sekundach ujęcia zaczyna iskrzyć instalacja elektryczna, światło kilka razy przygasa. Cięcie. Następna scena przedstawia baraki trzy dni później. W instalacji elektrycznej jednego z bloków nastąpiło zwarcie i wybuchł pożar. Jedno dziecko zginęło. W drugim z bloków coś się stało z instalacją wodną. Zalało całe piwnice. Na szczęście spychacze, które miały burzyć obóz, nie dojechały na czas i pogorzelnicy, którzy po raz kolejny stracili swoje majątki, mieli dokąd wrócić.

Z bliska bloki, które od czasu katastrof, zostały wyremontowane, pokazują całą swoją nędzę. *Nikt tu nie pracuje i nawet nie ma szans na pracę. W gminie bezrobocie przekracza 70 procent i Cygana nikt nie zatrudni, choć przecież przed wojną ci ludzie jakąś pracę, jakieś domy mieli. Statystyki mówią, że pracowało 90 procent RAE. Teraz nie mają za co płacić czynszu, nie płacą za elektryczność, wodę czy ogrzewanie. Odgórną decyzją pomieszano tu Romów, Ashkalich i Egipcjan – nikt ich nie pytał, czy chcą mieszkać ściana w ścianę: prawosławni i muzułmanie, serbsko- i albańskojęzyczni, romscy do bólu i zalbanizowani. Boją się wrócić do miejsc, z których ich przegnano. Część pochodzi z Doliny Drenicy. Mogą zapomnieć o swoich domach. Wyjazd do Obilicia jest dla nich wyzwaniem – niektórzy wracają z połamanymi rękami czy powybijanymi zębami. Albańczycy z Obilicia nie chcą Cyganów u siebie. Ci ludzie są tu jak w pułapce. W Plematinie też ich za bardzo nie chcą, ale przywykli*

już. I tak się to toczy. W świetlicy Balkan Sunflowers próbujemy integrować dzieci z obu grup, pokazywać im inny świat, inne możliwości. Uczymy angielskiego, robimy warsztaty muzyczne, taneczne czy filmowe. Przykład Samiego, który od udziału w takich warsztatach zaczął, działa na wyobraźnię.

W Plematinie słynny jest przypadek chłopaka, który w plematińską pułapkę wpadł prosto z komfortowo ułożonego życia w Niemczech. Jego rodzina wyjechała kilkanaście lat temu z Obilicia. Miał wówczas dwa lata. Zamieszkali we Freiburgu, gdzie wraz z bratem uczęszczał do niemieckiej szkoły. Po jej ukończeniu znalazł na miejscu dobrą pracę, ale przyszedł kryzys i został zwolniony dwa lata temu. Deportowano go wraz z bratem do Kosowa, choć jego rodzice i rodzeństwo – wciąż legalnie zatrudnieni – mogli pozostać w Niemczech. Nie mówią po serbsku ani po albańsku, znają tylko niemiecki i romani. Mieszkają w obozie w Plematinie i kompletnie nie umieją odnaleźć się w nowej rzeczywistości. Do Niemiec nie mogą wrócić przez najbliższe pięć lat. Na szczęście rodzice posyłają im po sto euro miesięcznie. Wobec innych mieszkańców mogą uchodzić za krezusów.



Każdy, kto tu przyjeżdża, stawia sobie podobne pytania: Co będzie dalej z Plematiną? Z blokami? Z mieszkańcami? Co będzie z Nenadem?

Kosowo ma jedne z największych pokładów węgla brunatnego na świecie. One leżą pod naszymi nogami. Wcześniej czy później będzie tu odkrywka, nas przesiedlą, ale gdzie, kiedy – tego nie wiem, może też do jakiegoś rezerwatu? Szkoda będzie Plematiny...

Wojciech Śmieja

1 Patrz reportaż „Zjednoczone kolory Kosowa”

2 Te dane oczywiście są zaniżone, bo wielu Romów wstydzi się swojej narodowości i wybierają inne spisowe opcje. Ich liczbę dziś określa się na ok. 100-120 tysięcy.

3 Podobnie zresztą jak albańskie Magjyp, macedońskie Gjuptin, greckie Giftos, tureckie Kipti.

Wojciech Śmieja

absolwent polonistyki na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach - doktorat 2006. Pracownik naukowo-dydaktyczny Wyższej Szkoły Zarządzania Ochroną Pracy w Katowicach.

Zajmuje się reportażem skupiając się na dokumentowaniu świata i mijającego czasu szczególnie na terenach od Murmańska po góry Atlas. Autor zbioru reportaży zatytułowanych „Gorsze światy” wyd. Carta Blanca 2012.

W kontrze

- ☀ Słowo przeciw słowu ☀ Prawda przeciw kłamstwu
- ☀ Agresja przeciw strachowi
- ☀ Co naprawdę dzieje się w Andrychowie i w Siemianowicach?

Małgorzata Goślińska

ANDRYCHÓW

Nienawiść kontra nienawiść

Piątek, 6 czerwca 2014 roku. Na moście przez Wieprzówkę grupa mężczyzn bije romską kobietę i towarzyszącą jej szóstkę dzieci. Kobieta jest w ciąży, przyjechała z Łodzi do rodziny, dzieci - tutejsze, w wieku od 9 do 14 lat. Mężczyźni - w kominiarkach. Most leży na drodze między Bielskiem-Białą a Krakowem. Jest dzień, samochody suną nieprzerwanym sznurem, pełno pieszych. Nikt nie reaguje.

I mało kto o tym mówi. Nawet Gerard Linder, mistrz świata w kick-boxingu i szef Małopolskiego Stowarzyszenia Romów „Jamaro”, najpierw czyta na Facebooku o pobiciu trójki gimnazjalistów w parku miejskim. To było tego samego dnia w nocy - sprawa jest opisana i komentowana przez społeczność „Andrychów po godzinie 22”: „Napastnikami byli Romowie, uzbrojeni w pręty i paralizatory”.

Linder nie kryje złości: „Znowu nasi coś zrobili”.

„W Andrychowie tylko najbliższa rodzina Lindera trzyma się z daleka od kłopotów i nie wdaje się w takie konflikty jak inni Romowie. Reszta to patologia” - pisze na facebookowym profilu 15-latek.

7 czerwca. Grupa kilkunastu mężczyzn w kominiarkach obrzuca kamieniami i butelkami samochód Lindera, gdy ten wraca z grilla z dziećmi i starym oj-



Jeden z patroli zorganizowany przez mieszkańców Andrychowa, 12 czerwca 2014.
Fot. Jakub Ociepa/Agencja Gazeta



Antyromskie napisy w centrum Siemianowic Śląskich, 8 maja 2014.
Fot. Dawid Chalimoniuk/Agencja Gazeta

cem. Internauci próbują przekonać kick boxera, że zaatakowali go Romowie. Policja umarza śledztwo, chociaż Linder potrafi wskazać winnych. Sami się do niego zgłaszają z chęcią naprawy auta, gdy dowiadują się, kogo napadli. To nie byli Romowie.

Ataków na Romów jest więcej. Ze strachu przestają puszczać dzieci do szkoły. Ale ani społeczność facebookowa, ani lokalny portal informacyjny mamnews.pl nie wspominają o tym.

Od tego dnia „Andrychów po godzinie 22” judzi : „Won z Andrychowa, dosyć że nic nie robią, kasę biorą, to jeszcze będą bili ludzi”.

„Jeść multikulturalizm. Polska jest biała, chrześcijańska i jak ktoś nie szanuje Polaków w ich własnym kraju, to niech wypierdala”.

„Pan Burmistrz mógłby w końcu zadbać o wizerunek miasta i wypieprzyć tych brudasów ze slumsów”.

„Każdego Polaka w Andrychowie uzbroić w broń palną i ostrą amunicję”.

„Richtung Oświęcim”.

„Do pieca”.

Facebookową społeczność odwiedzają narodowcy, w tym organizator zeszłorocznej manifestacji antyromskiej w Zabrze. Administrator prosi o niedodawanie rasistowskich komentarzy, bo „policja to czyta”. Efekt? Jedyne dwa wyważone wpisy z 27 i 28 czerwca. „Żeby wysiedlić Romów z Polski za to, że łamią prawo, to ilu Polaków musiałoby wrócić do kraju? Nie można pakować wszystkich do jednego worka. Niemcy w czasie drugiej wojny dość zrobili, a ich tak nie nienawidzicie, pracujecie dla nich”.

„Wszystkich Romów chcecie ukarać za karygodne zachowanie grupy imbecylów ze społeczeństwa romskiego. Zachowujecie się jak banderowcy wobec narodu polskiego”.

Noc z 9 na 10 czerwca. Romowie i kibole z różnych miejscowości planują ustawkę. Ale policja ściąga posiłki z Oświęcimia i Wadowic i do bitwy nie dochodzi. Odtąd na ulicach miasta zamiast ośmiu mundurowych jest naraz 27. Mają zostać trzy miesiące.

10 czerwca. Oficjalne stanowisko w sprawie wydarzeń w mieście zajmują ultrasi Beskidu Andrychów. „Dosyć cygańskiej bezkarności” - piszą na swoim portalu. „Skoro władze miasta nie potrafią spełnić warunków Konstytucji, które mówią o zapewnieniu wszystkim mieszkańcom bezpieczeństwa, a policja zwyczajnie boi się cyganerii, musimy sami o bezpieczeństwo swoje i swoich rodzin zadbać”.

12 czerwca. Ultrasi organizują patrol obywatelski. Wychodzą wieczorem na ulice w grupkach, ubrani w białe podkoszulki. To ich reakcja na „samochody z cyganami na obcych rejestracjach”. Patrole mają być organizowane codziennie, „dopóki w mieście będą przebywali cyganie nie wiadomo skąd”. Na pierwszym się kończą.

18 czerwca. Wysłanie swojego oddziału do Andrychowa w celu wsparcia patroli deklaruje Brygada Małopolska Obozu Narodowo-Radykalnego. Jednocześnie apeluje o „nieuleganie możliwym prowokacjom i powstrzymanie się od zbędnych aktów przemocy”.

Kibice mają jednak dalsze plany i się z nimi nie kryją.

Małgorzata Goślińska
jest dziennikarką katowickiej „Gazety Wyborczej”.

21 czerwca. Na festynie Dni Andrychowa kibice chcą urządzić manifestację pod hasłem „Stop cygańskiej bezkarności”, zażądać „odcięcia Romów od przysługujących im socjałów, wszelakich dotacji, darmowych mieszkań i udogodnień”. Ale policja znowu dusi akcję w zarodku.

25 czerwca. Romowie - dwie kobiety i mężczyzna - poturbowali 75-latkę i zabrali mu portfel. Sprawę rozdmuchują media.

28 czerwca. Obsługa lodziarni przy placu Mickiewicza wyprasza Romkę i jej dzieci, mimo że zdążyli już zamówić szejki, lody, ciasto, zapłacili za wszystko 50 zł, rozsiedli się przy stolikach i zaczęli jeść. Obsługa proponuje im zwrot pieniędzy, a gdy to nie pomaga, wzywa policję. Właściciel lodziarni tłumaczy oficjalnie, że goście nie okazali Kart Klienta. By ją otrzymać, trzeba mieć stały meldunek i zatrudnienie w Andrychowie.

4 lipca. Kupuję w tym samym lokalu loda. Nie jestem stąd i nikt mnie nie pyta o kartę.

Romowie powtarzają plotkę, że w jednym z miejscowych kościołów podobno zbierane są podpisy za wypędzeniem Romów z miasta. Petycja krąży w trakcie mszy, jak taca.

Niewiedza kontra niewiedza

Niechęć do Romów w Andrychowie dała o sobie znać dużo wcześniej. Rok temu w sierpniu na Facebooku kolejno powstawały profile „Antyromski Ruch Andrychowski” oraz „Nie dla Romów w Andrychowie”. Zanim zostały zablokowane za szerzenie nienawiści na tle rasowym, w niespełna tydzień zebrały odpowiednio 1,5 i 2,1 tysiąca fanów. Nagonkę wywołał incydent opisany w lokalnej prasie. 16-letni Rom miał pobić 14-latkę, próbując ukraść mu rower. Wtedy przechodnie interweniowali. Gerard Linder: - To był mój brat Brandon. Ma nieposzlakowaną opinię. Z jego opowieści wynika, że to ten 14-latek pierwszy go opluł. Brandon go tylko pchnął i nie chodziło o rower.

Kick boxer mimo wszystko bronił publicznie andrychowian. - Nie wszyscy są rasistami, tak jak nie wszyscy Romowie są źli - mówił. Zmienił zdanie, gdy na galę boksu, którą zorganizował w swoim mieście w październiku, nie przyszedł żaden nieromski mieszkaniec Andrychowa.

By zażegnać konflikt, do miasta ściągnięto Krzysztofa Krauzego z jego „Papuszą”. Przedpremierowy pokaz filmu o tytułowej romskiej poetce wypełnił 15 października całą salę gimnastyczną andrychowskiego gimnazjum. Obok siebie zasiedli romscy i nieromscy andrychowianie. - Większość problemów o podłożu etnicznym bierze się z nieznamomości kultury romskiej. Nieznajomość budzi lęk i agresję - mówił reżyser. - Łatwiej bić człowieka, którym się gardzi. Najpierw odbiera się mu prawa, potem upadla. To mechanizm zagłady. Ten film przywraca godność Romom.

Wszystkim się wydawało, że problem wynika z niewiedzy, choćby z bariery językowej. Po filmie były spotkania burmistrza z przedstawicielami Romów, w całej gminie warsztaty edukacyjne na temat kultury romskiej, w szkołach lekcje o tolerancji i mniejszościach narodowych. Tymczasem po cichu burmistrz zaczął wyprowadzać z centrum miasta „najbardziej ortodoksyjnych

Romów”. - Jest takich kilkunastu, zaczepiają ludzi, awanturują się, wyłudniają pieniądze, kradną, nie chcą pracować. Brakuje systemowego rozwiązania, które dawałoby Romom wędkę, a nie rybę. W Anglii na przykład muszą przepracować 16 godzin w miesiącu, żeby dostać zasiłek - mówi burmistrz Andrychowa Tomasz Żak. W decentralizacji Romów widzi jeszcze ratunek, sposób na asymilację. Dla dwóch trudnych rodzin z najbardziej zdewastowanego budynku udało mu się kupić mieszkania na obrzeżach miasta, ale to mozolny proces, bo nikt nie chce Romów za sąsiadów.

Linder: - Ta niechęć do nas za głęboko tkwi w andrychowianach, nie da się jej już wypłenić. Jestem sportowcem, dzięki mnie o Andrychowie zaczęło być głośno. A teraz myślę, że czas się stąd wyprowadzić. Jesteśmy tutaj przekłęci.

Ludzie kontra ludzie

- Najlepiej ich stąd wyprowadzić.

- Tak nie można, to dopiero byłby rasizm. I gdzieś muszą mieszkać. Ale innego sposobu na rozwiązanie tego konfliktu nie widzę.

Rozmawiam na rynku z nieromskimi mieszkańcami Andrychowa. Tym samym głosem mówią kobiety i mężczyźni, licealiści i ludzie starsi, nauczyciele i magazynierzy. Nie spotkałam nikogo, któremu Rom zrobiłby coś złego. Ale każdy, jeśli nie ma znajomego, pokrzywdzonego przez Roma, to przynajmniej o kimś takim słyszał i ze strachu nie wyjdzie do centrum miasta po zmroku.

- Dlaczego mam nie bać się Roma, jak nie wiem, kim on jest, co mi może zrobić, bo to obca kultura? Spotykam jednego na cmentarzu, mówimy sobie „dzień dobry”, miły człowiek. Znajoma mieszka obok Romów i bardzo ich chwali, ale to jest rodzina z osiedla, a nie z centrum i żyje tak jak my.

- Niech idą na ubocze miasta!

- Aha, burmistrz im mieszkania nowe kupuje!

- Tutaj jest wiele polskich rodzin wielodzietnych i nie mają żadnej pomocy. Ludzie nie wiedzą, że Romowie nie dostają pieniędzy do ręki i że to nie są pieniądze z budżetu miasta.

- Czy gdyby na tym moście ktoś zaatakował nieromską kobietę w ciąży, też byłaby taka afera?

- Oni wykorzystują swoją nację do usprawiedliwiania lenistwa, budzenia litości i wyciągania pieniędzy. A z nas robią rasistów. Jesteśmy ofiarami.

Ludziom z rynku przeszkadza, że Romowie zawładnęli sąsiednim placem Mickiewicza (tam mieszka ich ponad 60, podczas gdy wszystkich w Andrychowie jest obecnie 100 na 21 tysięcy mieszkańców). Że kąpią się w fontannie i rozsiadają na ławkach, jakby byli u siebie.

Przenoszę się na plac „romski”. Mówią mężczyźni w średnim wieku i jedna kobieta po pięćdziesiątce.

- To polityczna walka opozycji z obecnym burmistrzem, a my jesteśmy kozłami ofiarnymi.

- Sam bym wypieprzył stąd połowę Romów. To wina policji, że im pobłaża. Przecież tu jest monitoring, niech wkracza, jak się ktoś awanturuje czy żebrze. Potem cień pada na nas wszystkich.

- Tu nawet nie chodzi o strach, że pobiją, ale o to, jak się oglądają za nami na ulicy. Z pogardą.

- Jak Rom nie pracuje, to niedobrze, jak pracuje - też źle, bo zabiera pracę

Polakom. Bronimy ich, że nie są rasistami, to znów mają pretensje, z jakiej racji. Teraz nasza wina, że policji za dużo i wlepią mandaty za brak świateł w rowerze. Jak ktoś jest w porządku, to się policji nie boi.

- Dzisiaj nawet jak ktoś nas szanuje, to nie powie tego, bo inni będą na niego krzywo patrzeć.

- Dlaczego mam być taka jak oni? Ja tej pani w miniówce ani tamtej w spodniach nie każę nosić długich spódnic.

SIEMIANOWICE

Słowo kontra słowo

Kwiecień 2014 roku. Fundacja Klamra i Stowarzyszenie Otwarta Rzeczpospolita (obie instytucje z koalicji na rzecz edukacji antydyskryminacyjnej) alarmują: w Siemianowicach od kilku lat widnieją na murach rasistowskie antyromskie napisy. Urzędnicy się dziwią: napisy, owszem, są, ale w niezamieszanej części miasta, na opadającym tynku, nie są skierowane do społeczności romskiej i są systematycznie usuwane. I tłumaczą: to element walki kibiców. W mieście rządzi Ruch Chorzów, zwaśniony z GKS-em Katowice, panującym w stolicy województwa śląskiego. A prezes „Gieksy” nazywa się Cygan, stąd hasła: „Łowcy Cyganów”, „Jebać Cyganów” czy „Cygańskie kurwy”. Litera „g” napisana jest do góry nogami, co dodatkowo ma świadczyć o kibicowskim podtekście.

A „Polska dla Polaków”? A „Romowie do gazu”? A swastyki i krzyże celtyckie, również na znakach drogowych?

Czerwiec. Dariusz Paczkowski, prezes Klamry, na spotkaniu w Śląskim Urzędzie Wojewódzkim przekonuje: - U nas, w Żywcu, od dwóch lat nie ma żadnych symboli rasistowskich, a jeśli pojawią się, są natychmiast zamalowywane. Burmistrz malował z nami i dawał pieniądze na farbę. Jak prywatny właściciel nie zgadzał się na malowanie budynku, to miał tydzień, żeby zrobić to samemu. Nie ma zgody na mowę nienawiści, wszystko jedno gdzie, kto i po co jej używa.

Na spotkaniu obecni są: wicewojewoda, pełnomocnik wojewody ds. spraw mniejszości narodowych i etnicznych, kierownik oddziału współpracy z instytucjami, mniejszościami narodowymi i repatriacji, pełnomocnik śląskiego komendanta policji ds. ochrony praw człowieka oraz policjant i dwóch urzędników z Siemianowic, a także wójt siemianowickiej gminy romskiej. Najpierw dyskredytują (z wójtem włącznie) przedstawiciela Romów, który powiadomił Klamrę o napisach. Potem wspominają incydent z zeszłorocznego pikniku romskiego w Siemianowicach. W trakcie występu zespołu Forte Roma wkroczyli kibole Ruchu z transparentem: „Nie mów, że jesteś Polakiem, skoro nie potrafisz czytać”. Krzyknęli: „Nie pracujecie - to czemu piknikujecie”. Urzędnicy wyrażają żal, że artyści uciekli wtedy ze sceny, a zainkasowali całą zapłatę za występ.

- Oni są z Białegostoku i wiedzą, jak groźni potrafią być kibole. Mieli podpalane mieszkania - mówi Paczkowski. - Wszyscy próbowali mnie przekonać, że nic złego się nie dzieje. No to im powiedziałem, że jak będą zamiatać

problem pod dywan, to mogą mieć drugi Andrychów.

W tym roku pikniku nie było po raz pierwszy od siedmiu lat. Powód oficjalny: miasto oszczędza. Chodzi o mniej więcej 15 tysięcy złotych.

Swoi kontra swoi

- Wziąłbym nożyczki i poobcinał im te kiecki. Jak oni traktują kobiety?! Porywają czternastoletnie na żony. Z dziećmi rozmawiają po romsku i potem te dzieci nie nadają się nawet do szkół specjalnych, bo języka nie znają. Ale niech sobie żyją na tym marginesie, jak sobie chcą, im tam jest dobrze - powiedział mi emerytowany górnik i była to najgorsza opinia o Romach, jaką usłyszałam w centrum Siemianowic.

- Powinni tu siedzieć na ławkach - dyrektorka domu kultury rozgląda się po rynku. Gdy urządza piknik romski, spotyka się ze współorganizatorami, nie używając telefonu. Po prostu przychodzi na rynek.

- Tu jest ich garstka. Na Nowym Świecie jest skupisko, prosto Świerczewskiego i za cmentarzem - tłumaczą mieszkańcy. Ale na Nowym Świecie mieszkają ledwo dwie rodziny. - Nasze Cygany są fajne, pożyczamy im pieniądze. Jak są u nich goście, to się awanturują, ale między sobą. Tylko jak przyjeżdżają do nich z darami, to się ludzie złością, bo nam też się nie przelewa - mówią tutejsi, biesiadujący masowo w godzinach pracy przed swoimi socjalnymi barakami. - Teraz wyjechali na wczasy. Ale na Hugo jest ich cała masa.

Trzeba wrócić do rynku, przejść obok kościoła, potem będzie szkoła na prawo, za boiskiem skręcić w lewo, dalej prosto przez park aż do torów, przejść na drugą stronę i cały czas wzdłuż Huty Jedność. - Tam już pani zobaczy Hugo.

To druga po Nowym Świecie zapomniana przez Boga i władze miasta dzielnica. Okna parterów zakratowane, powybijane albo zamurowane. Sklepy: Antykwarjat Podręczników i Galeria Alkoholi. W ruinach zamkniętej huty dzieci łamią nogi i ręce w poszukiwaniu złomu.

- Cygany? Może na końcu ulicy - mówi kobieta z niemowlęciem na ręku.

- Pani jest stąd?

- Ja się tu urodziłam, ale Cyganów nie widuję.

Na końcu ulicy mieszka jedna Romka. - Małgosia wyszła. Ale tam jest druga rodzina - sąsiadka pokazuje palcem podwórze prostopadłej ulicy i każe iść na skrótą ścieżką wśród dzikich zarośli. - Tamte okna - dziewczyna pod garażem przerywa czytanie gazety.

Wspinam się na piętro po drewnianych schodach, wytartych głęboko od chodzenia i nigdy niemytych.

- Prócz nas na Hugo są jeszcze dwie rodziny - mówi młody Rom.

- To gdzie wy mieszkacie w tych Siemianowicach?

- Chyba w centrum.

- Nasi Romowie nie mieszkają w skupisku, może dlatego nie mamy żadnych konfliktów na tle narodowościowym - mówi Danuta Prandi, kierowniczka referatu spraw obywatelskich w siemianowickim magistracie. - Mamy 130 Romów, trzy rody, które żyją osobno i nie wchodzą sobie w drogę. Jestem z nimi 39 lat i nie dam złego słowa na nich powiedzieć. Nie widać, żeby pracowali, bo wyjeżdżają do pracy za granicę, do Niemiec. Wiedzie im się lepiej lub gorzej, niektórzy naprawdę pięknie mieszkają, inni proszą o zamianę lokali na mniejsze, bo nie stać ich na ogrzewanie i na ściany wchodzi

wilgoć. Starsi nie radzą sobie z pisaniem, nie dbają o zdrowie, umierają młodo, ale troszczą się o przyszłość dzieci, żeby pokończyły szkoły. Dzieci dostają podręczniki, zeszyty, nawet stroje do gimnastyki, jeżdżą do Zakopanego, nad morze. Załatwiam im te kolonie po cichu, żeby nie rozjuszyć innych podopiecznych pomocy społecznej.

Spokój, zdaniem Prandi, zakłóca przedstawiciel Romów, ten sam, który powiadomił Klamrę o rasistowskich napisach. - To nie jest Rom, wszedł do społeczności jako mąż Romki. Nie pytał Romów o zgodę, czy może być ich przedstawicielem. Zrobił kurs w Związku Romów Polskich w Szczecinku, odebrał legitymację... I to złości Romów, bo jak to może być, że gadzio ich reprezentuje.

Przedstawiciela nie ma w Siemianowicach. 2 czerwca oprowadzał po mieście wiceprezesa Związku Romów Polskich Andrzeja Sochaja i następnego dnia, jak twierdzi Sochaj, dostał butelką w głowę. Zaraz po wyjściu ze szpitala wywiózł rodzinę za granicę. - Połowa Romów już stamtąd wyjechała. Osobiście wystawiałem im zaświadczenia po angielsku do władz Niemiec i Norwegii, że są u siebie prześladowani, żeby mogli tam zamieszkać - mówi Sochaj. - To przykre, że człowiek musi uciekać ze swojego kraju w obawie o życie. Tam były nie tylko rasistowskie hasła, ale wybijanie okien, uszkodzanie aut, wyzywanie, obrażanie. Społeczeństwo odczuwa skutki pauperyzacji i szuka wspólnego wroga, na którym mogłoby się wyładować. Romowie nie wiedzą, gdzie szukać pomocy. Czują się zbywani przez policję, która nie rozumie siły mowy nienawiści.

Wójt gminy romskiej odmawia spotkania ze mną. Przekazuje przez Prandi, że chciałby mieć spokój, który panował przed doniesieniami medialnymi o napisach rasistowskich.

Romowie, których spotkałam w Siemianowicach, również nie chcą rozmawiać z dziennikarzami. Mówią, że boją się zemsty tych, co ich atakują, ale że policja wie, o kogo chodzi. Pytam, gdzie są pozostali. - Wyjechali na wczasy - mówi Romka. - A nie ze strachu? - Ze strachu - potakuje.

Małgorzata Goślińska

Polaki i Brazylianie

Historia heroiczna

Kinga Orzeł-Dereń

Czerwiec, szron otulił trawy i drzewa. Ta noc była wyjątkowo chłodna, choć tu, w Santanie, nocne przymrozki o tej porze roku nikogo nie dziwią. W ciągu dnia temperatura dojdzie do dwudziestu paru stopni.

W kuchni robię poranną kawę, w rękawiczkach i zimowej kurtce narzuconej na piżamę - domy są nieogrzewane. Do okna podfruwa koliber, spija wodę z cukrem z przygotowanego specjalnie dla niego karmnika. Pierwszy raz widzę kolibra z tak bliska, jest piękny.

Osada dopiero się budzi. Dziś poznam jej mieszkańców - potomków polskich migrantów, którzy przed 100 laty przybyli właśnie tu, do puszczy w brazylijskim stanie Parana.

Zdrowo mocno!

Nie ma tu polskiego „dzień dobry”, rzadko słychać też portugalskie „bom dia”. - Zdrowo mocno! - tak się ludzie tu witają, przekonani, że to typowe polskie pozdrowienie. Większość starszych mieszkańców Santany posługuje się specyficzną, „santańską” formą polszczyzny - archaiczną, gwarową i z naleciałościami z języka portugalskiego.

- A Polaczka to mówi po brazylijsku? - pyta mnie starsza pani, na oko 80 lat.

- Słabo - odpowiadam.

- A to się Polaczka nie boi, ja też po brazylijsku nie gadam.

To wcale nie rzadkość, pomimo iż ludzie ci urodzili się tutaj i są Brazylijczykami. Najstarsze pokolenie to dzieci pierwszych osadników, którzy wyemigrowali głównie z okolic Siedlec, Lublina,

Chełma i Białegostoku. Najprawdopodobniej dotarli oni do Brazylii 16 i 24 lipca 1911 roku w około 860 rodzin.

Wędrówka

Mieszkańcy Santany opowiadali mi historię migracji, jakby sami brali w niej udział. Nie brali - przecież to polonusi w drugim i trzecim pokoleniu. Ale pamięć o tamtych wydarzeniach jest wciąż żywa.

- Jak było? - zapytałam.

Oj ciężko... Tyle się wycierpieli - westchnął Jose Cieniuch.

A było to tak...

...w 1910 roku na polecenie rządu federalnego Brazylii urząd zaludniania ziemi Sernico de Povramento de Solo tworzy w Cruz Machado (obecnie Pátio Velho), na terenie dzisiejszych ziem należących do parafii Santana, kolonię. Tam mają trafić osadnicy z Polski. Chętnych w Polsce nie brakuje - zgłaszają się biedni chłopcy głównie z zaboru rosyjskiego, w większości analfabeci, chętni do pracy i zdeterminowani. Marzą o wolności i dostatku. Brazylia ma być ich ziemią obiecaną. Rząd federalny oferuje każdej rodzinie około 25 ha gruntów i opłaca podróż.

Płyną statki. Warunki są fatalne - woda śmierdząca, jedzenie zepsute. Migranci nie znają swoich praw ani języka, są oszukiwani i zmuszani do płacenia za rzeczy czy usługi, które były już opłacone. Gehenna trwa trzy tygodnie, wielu jej nie przeżyje. Zmarłych zawija się w płótna i wrzuca do wody. Czasem całe rodziny.

Wreszcie dobijają do brzegu, ale to jeszcze nie koniec. Jeszcze kwarantanna na Wyspie Kwiatów. A potem znowu w drogę, w nieznaną. Płyną do



Dom kolonisty polskiego.

portu Paranaguá, na południu kraju. A stamtąd, prawie 100 km, koleją do stolicy stanu Parana Kurytyby. I to też nie koniec. Z Kurytyby trzeba koleją do Ponta Grossa, a stamtąd, także pociągiem, do Mallet, miasteczka położonego około 50 km w linii prostej od miejsca docelowego. Tu Polacy ładują dobytek na furmanki i ciągną kolejne dwa dni do osady Cruz Machado. Trudno wyobrazić sobie trudy tej wędrówki: prości ludzie w kompletnie obcym świecie, wyczerpani podróżą przez ocean, osłabieni chorobą morską i brakiem żywności, zmuszeni do kilkunastogodzinnego marszu z całym bagażem...

Miejsca pod kolonizację wybierane są według prostego klucza. Główną rolę odgrywa bliskość linii kolejowej - bo przecież trzeba te tłumy dowieźć, unikając ogromnych kosztów. Zresztą innych dróg lądowych ówczesna Brazylia prawie nie ma... Te, które są, nadają się jedynie do marszu lub jazdy konnej, przejazd wozu jest po prostu niemożliwy.

Kolonizacja jest źle zorganizowana. Bardzo źle. Władze zakładają, że sprowadzą ponad 2000 rodzin, a miejsce nie jest przygotowane nawet dla połowy. Ale odwrotu nie ma.

Rola

- Dlaczego rząd brazylijski płacił za podróż polskiego chłopca? - zapytałam.

- A bo dzięki nie chciały pracować.

A było to tak...

...wskutek zniesienia niewolnictwa w Brazylii w 1888 roku rozległe plantacje kawy gwałtownie pustoszeją. Brakuje rąk do pracy. Dodatkowo władze proklamowanej w 1889 roku republiki federalnej uznają, że Murzyni rozmnażają się zbyt szybko, co skutkuje „ciemnieniem” społeczeństwa, a tego rządzący nie chcą. Idealnym rozwiązaniem wydaje się sprowadzenie białych osadników. Do tego wyśmienicie nadaje się imigrant z Polski, który po zniesieniu pańszczyzny pod zaborem rosyjskim, nie mając własnej ziemi, stanowi cenny materiał roboczy. Pod naciskiem plantatorów kawy rząd organizuje szeroko zakrojoną akcję: płatni agenci werbują ochotników. A jest to czas wielkich migracji. Ludzie, którzy mają pieniądze na opłacenie podróży, płyną do Stanów Zjednoczonych. A ci, których nie stać na opłacenie podróży, biedota, bezradni, niewykształceni i zahukani chłopcy, wybierają Brazylię. Polacy przybywający do Cruz Machado w 1911



Wjazd do dystryktu Santana.



Szkoła im. Stanisława Wróblewskiego w Santanie.



Skansen.



Brama do gospodarstwa rodziny Kowalczyków.

roku nie są potrzebni na plantacjach kawy. Ich rolą jest wpisanie się w zamysł „rozjaśnienia” społeczeństwa brazylijskiego i zagospodarowania nowych terenów.

Na przełomie lipca i sierpnia, kiedy pojawiają się Polacy, w Paranie jest akurat środek zimy. Chłopi przyzwyczajeni są do ciężkich warunków, zimy w Polsce bywają przecież ostre. Zima w Brazylii jest inna. Zdziesiątkowani przez choroby szalące na statkach, skąpani w gorącym słońcu na Wyspie Kwiatów, muszą stawić czoło zupełnie nieznanym warunkom klimatycznym. Po ciężkiej podróży docierają wreszcie do zbudowanej naprędce osady, w której mają czekać na przydział ziemi.

Budki

- Jak wyglądała osada? Opowiadali dziadkowie, jak to było? - zapytałam.

- A co nie opowiadali? Opowiadali!... opowiadali... - mój rozmówca ściszył głos.

A było to tak...

...przybyszów umieszcza się w drewnianych szopach. „Budki” – mówią o nich. W tych budkach przyjdzie im miesiącami czekać na przydział obiecanych działek. Budki są ciasne i niskie. Wewnątrz nie ma praktycznie nic, prócz prowizorycznych miejsc do spania. Kuchni też nie ma. Gotuje się na zewnątrz, na ogniskach lub na prymitywnych piecach. Z czasem osadnicy postawią sobie osobne budki - kuchnie. Bezpośrednio na ziemi, bez podłogi.

Budek do mieszkania jest za mało, upycha się w nich więc po dwie lub więcej rodzin, najczęściej

wielodzietnych. Bywa, że w jednej gnieździ się więcej niż 20 osób. Życie toczy się na zewnątrz lub – później - w budkach-kuchniach... Z paleniskiem pośrodku, z garnkami podwieszanymi u powały na łańcuchach nad paleniskiem. I z klepiskiem z popiołu zmieszanego z wodą i ziemią. Oczekiwanie na przyznanie obiecanej ziemi przedłuża się. Nie pojawia się nikt, kto wytłumaczyłby lub poradził, co robić. Nikt nie potrafi nic wytłumaczyć. Konsulaty państw zaborczych są głuche na skargi.

Zmuszeni do bezczynnego oczekiwania ludzie są coraz bardziej zmęczeni psychicznie. W ciągu dnia na dworze panują upały, w nocy temperatura spada do zera. Złe samopoczucie pogłębia świadomość dokonanego wyboru i braku odwrotu. Uwięzieni w parańskiej puszczy, bez pieniędzy, bez znajomości języka ludzie są zostawieni sami sobie.

Dobrze, że żywność dowożą do osady. Ale nie starcza. Koloniści „oswajają” więc brazylijską florę i faunę metodą prób i błędów.

- A Polaczka widziała korwy?

- Krowy? - dopytuję

- Niece (*śmiech*), korwy! Ptaki - jedli je... ale nie nadają się...

Sępy korwy są nieodłącznie wpisane w krajobraz Santany. Ogromne czarne ptaki krążą, wypatrując zdobyczy. Nie cieszą się zbytnią sympatią, ponieważ żywią się głównie padliną. Przybysze z Europy nie wiedzieli, co nadaje się do spożycia, a co nie, nie wiedzieli również, że ogromny ptak jest padlinożercą. Polowali więc i na niego. Podczas

gotowania po kuchni rozchodził się potworny fetor, mięso nie chciało zmięknąć. Dochodziło do zatrucia. Dłuższe gotowanie nie pomagało. Teraz mówi się o tym ze wstydem. Przecież padliny się nie je.

Tyfus

- Oj, namarło wtedy ludzi, oj, namarło. Całe rodziny umierały, nikt nawet nie wie wiele – usłyszałam.

- Epidemia? – dopytałam.

- Oj tak! Całe rodziny, nie miał ich kto grzebać...

A było to tak...

...akcja kolonizacyjna prowadzona jest w chaotyczny sposób, nikt nie przejmuje się warunkami sanitarnymi. Chłopi boją się oddalać od baraków. Zresztą możliwości przemieszczania się są ograniczone – nie ma dróg, wokół zbita ściana dzięki roślinności. Głosy tropikalnych zwierząt, w tym dzikich kotów, drażnią wyobraźnię przybyszów znad Wisły. Bez prądu, dróg, lekarza osadnicy wegetują. Prześladowuje ich myśl, że zostali opuszczeni i zapomniani. Żyją w zbyt dużym zagęszczeniu, co sprzyja rozprzestrzenianiu się chorób. Dodatkową komplikację stanowi obawa przed dziką zwierzyną, a sanitariatów brak... Ulewne deszcze zalewają baraki, wszystko zaczyna gnić. Na zewnątrz gromadzą się zwały błota, przez które coraz trudniej się przedzierać. Osadnicy zaczynają zapadać na zdrowiu, pojawiają się wrzody i świerzb. Wszelki brud sprzyja rozmnażaniu *bicho de pe* – pchły brazylijskiej, która usadawia się pod paznokciami, gdzie składa jaja. Po

kilku dniach tworzą się bąble wielkości grochu z tysiącem małych, ruchliwych żyłtek w środku. Najgorsze ma jednak dopiero nadejść. Wśród osadników wybucha epidemia tyfusu. Śmierć zbiera obfite żniwo. Umiera 800-1000 osób. Cmentarz zapełnia się w zastraszającym tempie; dziennie chowa się po kilkunastu zmarłych, zawiniętych w płótna, bo żywi nie nadążają już z produkcją trumien. Zdarza się, że ciało zostawia się na noc pod cmentarnym płótnem i chowa dopiero następnego dnia.

Ziemia obiecana

- I co było dalej? – zapytałam.

- Ci, co przeżyli, doczekali się... Ale nie było lepiej wcale...

A było to tak...

...wreszcie! Rozdają ziemię! Część zdziesiątkowanych przez tyfus rodzin bierze grunty w głębi stanu Parana, bardziej na południe. Powstają nowe osady, w tym Santana, położona w Górach Nadziei, czy Nowe Cruz Machado (Sedy). Dawna kolonia Cruz Machado nie pustoszeje całkowicie, tam ludzie nadal oczekują na nadanie ziemi, a niektórzy przenoszą się do oddalonej o prawie 5 km kolonii Rio do Banho. Rząd brazylijski proponuje osadnikom budowę domu na przyznanym im działkach - koszt budowy wynosił 50 milrejsów. Godzili się tylko nieliczni, wielu odmawia z powodu braku pieniędzy. Najczęściej osadnicy sami wznoszą swoje domy, pierwsze noce spędzając na działkach pod gołym niebem. Koloniści wiedzą, że każdy skrawek ziemi trzeba wydrzeć

puszczy, że karczowanie lasu to praca katorżnicza, że korzenie kilkunastometrowych drzew są ogromne i że wyrwanie ich nie będzie łatwym zadaniem.

Koloniści dostają ofertę nabywania kolejnych ziem na kredyt, spłata następować ma po 25 latach. Na kredyt dostają też pługi, brony, wszelkiego rodzaju narzędzia rolnicze i nasiona. Żywność dostarcza rząd, a osadnicy spłacają ją, pracując przy budowie dróg. W 1911 roku koloniści mają do dyspozycji jeden samochód ciężarowy, który dowoził pożywienie z Mallet, oraz dwa samochody osobowe, którymi poruszają się geodeci wyznaczający ziemie dla osadników. Około 1912 roku kolonia Cruz Machado składa się już z dwóch ośrodków. W pierwszym Cruz Machado znajdują się: biuro kolonii, apteka, prymitywny szpital oraz rzeźnia.

W 1912 roku w kolonii osiedla się polski zakonnik o. Teodor Drapiewski. Pod jego przewodnictwem koloniści budują pierwszą kaplicę pod wezwaniem Matki Bożej Bolesnej, która obecnie znajduje się na terenie Rio do Banho. Po nabożeństwach zasłania się ołtarz, oddzielając sacrum od profanum, i kaplica zmienia się w szkolną salę. W chłopów wstępuje nadzieja, życie wraca do normy, a rytm dnia wyznacza praca.

Chęć polepszenia warunków życia swojego i swoich najbliższych, chęć stworzenia nowej, lepszej Polski na parańskiej ziemi, wreszcie przekazanie języka ojczystego są celami nadrzędnymi. Powstają towarzystwa, teatry, biblioteki i gazety. Pierwsi osadnicy są niezwykle wytrzymali – wierzą mocno, że może być lepiej. Prości, niewykształceni ludzie, w większości analfabeci, robią wszystko, aby ich dzieci mogły się uczyć. A naucza ten, kto się nadaje, kto sam umie czytać i pisać. Za podręczniki służą książeczki do nabożeństwa. Brak kontaktów z Polską sprawi, że język polski nie ewoluuje w tym samym kierunku, co w Polsce. Dodatkowo chłopcy posługują się językiem prostym, co prowadzi do zabawnych sytuacji.

Głośnym echem odbija się rozmowa pierwszego polskiego konsula Kazimierza Głuchowskiego z jednym z lokalnych edukatorów. – Od jak dawna jest pan w tej kolonii nauczycielem? – zagaja rozmowę konsul.

– O, przepraszam pana konsula. Ja jestem skromny profesor. Nauczycielem był tylko nasz Pan Jezus Chrystus.



Pomnik ks. Daniela Niemca.

Daleko do tej Polski?

- Brazylia jest moją matką, a Polska babką – mówią mi.
- Naprawdę? Czyli wy to Polacy?
- Tak, tutaj to same Polaki mieszkają.

A jest tak...

...najstarsze pokolenie zamieszkujące Santanę w znacznej mierze zachowuje tożsamość polską i/lub podwójną – polsko-brazylijską, mimo że jest to już trzecie pokolenie mieszkające na tych terenach. Dla ludzi tych fakt, że urodzili się w Brazylii, że posiadają brazylijski paszport, nie ma większego znaczenia. Wyznacznikiem tego, kim są, jest dla nich język, którym się posługują na co



Widok ogólny na dystrykt Santana.

dzień, język domu rodzinnego, czyli język polski. Pokolenie mieszkańców w wieku średnim reprezentuje postawę zbliżoną do tej wyrażanej przez ich rodziców, nie jest ona jednak taka sama. Posiadanie brazylijskiego obywatelstwa oraz fakt urodzenia w Brazylii nabiera dla nich znaczenia. Ludzie ci posługują się biegle językiem polskim, mówią również biegle po portugalsku, stosując te języki zamiennie w zależności od sytuacji. Używają wielu spolszczonych słów. Ze swoimi rodzicami rozmawiają po polsku, ze swoimi dziećmi rozmawiają po portugalsku lub w obu językach. A wy kim jesteście? – pytam.

- My to pół-Polaki, pół-Brazyliany - słyszę od kobiety w wieku około 40 lat.

- My to już Brazyliany, ale po polsku gadamy... No, chyba Brazyliany, bo tu rodzone - odpowiada druga.

Najmłodsze pokolenie w znacznej większości nie czyta i nie pisze po polsku, potrafi się porozumiewać w tym języku w stopniu umiarkowanym. Dzieci z trudem formułują zdania, ale nie mają

problemów ze zrozumieniem tego, co się do nich mówi w języku polskim. Chętniej rozmawiają z rodzicami po portugalsku. W wielu domach dzieci jako pierwszy poznają język polski, jednak gdy zaczną edukację w szkole, przestają go używać.

- One to nie chco gadać po polsku - skarży się starsza pani.

Kinga Orzeł

Kinga Orzeł-Dereń

doktor antropologii, absolwentka Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej UJ, autorka wielu publikacji naukowych i publikacji książkowej pt. „Śladami polskich kolonistów w Brazylii. Historia polskiego osadnictwa na terenach Santana”. Prowadziła samodzielne badania terenowe m.in. w Brazylii, USA, Irlandii i Polsce.

Współpraca Fundacja PICTURE DOC

